



ROK LVIII

MISŁY GODNIOWE I LUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 38

WARSZAWA, 19 WRZEŚNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Przeoczenie czy braki przygotowanych?—*C. Walewska*. Rodzina jako czynnik wychowawczy i społeczny (do-kończenie)—*J. R.* Joseph Dalteil o Joanne d'Arc—*Z. Zawiszanka*. Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Najdalsza droga—*Marja Dąbrowska*. Z powodu dolarów (c. d.)—*Joseph Conrad (Józef Korzeniowski)* tłumaczyła *Teresa Tatariewiczowa*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Piękna Pamela (c. d.)—*K. Bielańska*. Odznaczenie trzech działaczek—*S. A. M.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Jednak zwyciężył—*al.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Sposób powiększania wzorów. To i owo o modzie. Moda na scenie—*W. Z.* Wehikuły prababki—*Emilja Szenwicowa*. Nowe pole pracy dla kobiet—*Z. a.* Gduły—*Sten. Schönfeld*. Konkurs na zdobienie balkonów. Kuropatwy—*J. S.* Węgiorki—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians“ (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*) TABLICA KROJÓW

## PRZEOCZENIE CZY BRAKI KADR PRZYGOTOWANYCH?

Miesiące wiosenne i letnie są okresem zjazdów. Do najważniejszych w tym sezonie należały: XII Międzynarodowy Kongres Rolniczy, Zjazd Związku Miast, Zjazd w sprawie uzdrowisk i Zjazd rzemieślników polskich. Wszystkie w Warszawie.

Zdawałoby się, że na każdym z nich kobieta bądź samorzutnie, bądź jako przedstawicielka zrzeszeń, związków, organizacji, miałaby dużo do powiedzenia; zdawałoby się, że głos jej powinien zaważyć na szali postanowień, zamierzeń, uchwał i planowanych działań; zdawałoby się, że w postulatach czysto gospodarczych inicjatywa jej, doświadczenie i dar organizacyjno-administracyjny winny były wybić się na plan pierwszy i górować nad założeniami męskich towarzyszy; zdawałoby się, że zgromadzenia, których celem jest zsumowanie prac już dokonanych, retrospektywna ich krytyka, rozejrzenie się w brakach i najpilniejszych potrzebach, rozplanowanie nowych poczynań, rzucenie drogowskazów nie mogą odbywać się dziś bez udziału kobiet.

Tymczasem...

Widzimy je dosyć licznie na XII Międzynarodowym Kongresie Rolniczym. Wystąpiły jako przedstawicielki organizacji—*dr. Irena Lipska*, bakterjolog Instytutu Naukowego w Bydgoszczy, *dr. Laura*

*Haufmanówna*, p. *Szymkiewiczówna*, *Jadwiga Czarnocka*, *Stanisława Lewoniewska* z Naukowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, p. *Aniela Zdanowska* z ramienia Kół Gospodyń Wiejskich C. T. R., p. *Janina Żalińska*, delegatka T-wa Rolniczego Tucholskiego na Pomorzu.

Wygłosiły referaty pp. *Helena Radlińska* i *Jadwiga Dziubińska*. Polki z Instytutów Naukowych brały udział jako tłumaczki wszystkich referatów i wniosków, wygłaszanych w obcych językach.

Polskie Stowarzyszenie Ziemianek, które miało aż trzydzieści kilka delegatek z referentkami: pp. *Aleksandrą Grzybowską* (przewodniczącą) i *Kazimierą Rosinkiewiczówną* na czele, poparte przez delegatki Belgii i Francji, przeprowadziło uchwałę, że odtąd na wszystkich Międzynarodowych Kongresach Rolniczych sprawy gospodarstwa kobiecego jako równoważne z pracą rolnika wchodzić będą na porządek dzienny obrad, czego do tej pory nie było.\*)

Przekonywamy się więc, jak ważny był udział kobiet w tym Kongresie i jak wielką lukę wywołałby brak ich.

\*) Szczegółowe sprawozdanie z udziału kobiet w tym Kongresie pomieścił Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych przy Nr 27 „Bluszczu“ r. b.



Czy na pozostałych zjazdach, już czysto polskich, rozstrzygających o zadaniach naszych własnych, kobieta okazała się zbędną?

Zjazd Związku miast—ósmym z kolei, począwszy od 1917 r.—wysunął na plan pierwszy sprawę ustroju i zabudowania miast oraz skarbowość gminną.

Ustrój miast—to pojęcie obejmuje z natury rzeczy działy gospodarcze, których duża część powinna spoczywać na barkach kobiet.

Wszak mamy radne we wszystkich prawie mniejszych i większych miastach, mamy nawet Prezeskę Rady Miejskiej i bodaj gdzieś na prowincji—burmistrza.

Ale czy jest jaki widomy ślad ich działalności? Czy dzięki kobiecie, przeszły jakieś ważne gospodarczo-administracyjne uchwały?

Milczą kroniki, chociaż był już czas dla zebrania danych.

Spółeczna działalność wyprzedza u nas zwykle żywiołowym porywem i pomysłowością pracę urzędową. Zarząd Związku miast dał tego dowody, przygotowawszy dwutomowy projekt ustawy o organizacji gminy miejskiej, dający ciałom prawodawczym niezwykle obfity, ciekawy i rzeczowy materiał, który będzie złożony do Sejmu.

Czy wzięła w nich udział choćby jedna prawniczka nasza?

Milczą kroniki.

A jednak—umysł kobiety polskiej jeszcze półtora wieku temu, kiedy nie śniło się o uniwersyteckim wykształceniu praprababek naszych, już obejmuje te szerokie zagadnienia.

Czytaliśmy wszak w „Bluszczu“ obszerny życiorys ks. Anny Jabłonowskiej, która zadziwiła świat mądrością i praktycznością ustaw swoich, zebranych w ośmiu tomach i drukowanych w końcu XVIII w., a mających na celu objęcie ścisłym regulaminem pracy jeneralnych i poszczególnych rządów olbrzymich włości książęcych, administratorów pojedynczych folwarków, dworników, gospodyń folwarcznych i t. p.

Nie wystąpiła na Zjeździe Związku miast ani jedna kobieta.

Nie wystąpiła również na Zjeździe w sprawie uzdrowisk.

Czyżby zamknięte było tutaj i zgoła niedostępne dla niej pole zainteresowań?

Rozwój naszych uzdrowisk stanowi o bogactwie narodu.

Jeżeli dziś już, mimo iż jesteśmy zaledwie u progu podnoszenia poziomu naszych miejsc kuracyjnych, takie stacje lecznicze, jak Ciechocinek, Krynica, Busk, zniweczone przez wojnę, zaniedbane i upośledzone za rządów obcych, dały Państwu Polskiemu w przeciągu 1924 r. milion przeszło złotych czystego dochodu, to czyż nie należy traktować uzdrowisk jako nagromadzenia olbrzymich zasobów narodowych?

Przypuśćmy, że ta strona mniej bezpośrednio zainteresowała kobietę, jakkolwiek wrodzony prozelityzm jej i nerw społeczny winien stworzyć ar-

mję propagatorek lecznictwa krajowego—twardych, nieugiętych żołnierzy, walczących z tymi, co jadą pić wody obce, gdy mamy je wszystkie u siebie.

Przypuśćmy, co jest nie do pomyślenia, że działaczki, ofiarnice, kwestarki, dromaderki, społecznice nasze przechodzą do porządku dziennego nad zagadnieniem uzdrowisk jako skarbów państwowych. To jeszcze zostaje kwestja najzupełniej bezpośrednich zainteresowań.

Kto prowadzi pensjonaty, wykwinłne i mniej wykwinłne, droższe i tańsze w naszych Szczawnicach, Truskawcach, Inowrocławach, Nałęczowach, Druskienikach?

Prawie—jeżeli nie zupełnie—wyłącznie kobiety.

A gdzie ich głos, gdy chodzi o rozwój tych placówek, na których rozbiły dochodowe swoje namioty?

Wszak—im lepiej będą postawione zdrojowiska nasze, tem bardziej zmniejszy się fala wyjazdów zagranicę i pieniądze, odpływające strumieniami na Zachód, zostaną u nas. Im liczniejszy napływ kuracjuszy do uzdrowisk polskich, tem większa rękojmia dobrobytu pensjonatów.

Takie proste. Zdawałoby się—na skrzydłach dobrze zrozumianego interesu powinny były przyfrunąć w dniu Zjazdu do Warszawy właścicielki wszystkich „Zofjówek“, „Zniczów“, „Poganek“, a przynajmniej wysłać delegatki swoje.

Czy były?

Milczą kroniki.

Milczą też i o doktorkach, które coraz liczniej przecież osiadają w miejscowościach kąpielowych, stanowiąc poważną konkurencję dla kolegów męskich.

Nie wygłosiła referatu ani jedna lekarka nasza. Nie zgłosiła pobożnych życzeń lub wniosków do uchwalenia ani jedna radna odnośnej gminy. Nawet w skład Komitetu Centralnego Biura Uzdrowisk dla udzielania publiczności wszelkich informacji i jaknajszerszej propagandy uzdrowisk polskich nie weszły wcale kobiety.

Przeoczenie czy braki kadr zorganizowanych dla akcji w odnośnych poczynaniach społecznych?

Odbył się jeszcze jeden zjazd, w którym nieobecnością świeciły kobiety—dwudniowy Zjazd rzemieślników polskich.

Zapadły na nim niezmiernie ważne uchwały w najżywoźniejszych dla rzemiosła polskiego zagadnieniach.

Postanowiono stworzyć wszechpolską organizację rzemieślników chrześcijan, powołać do życia własne współdzielnie, kasy i spółki kredytowe, organizacje zawodowe i gospodarcze dla wykonywania zamówień rządowych; założyć Bank rzemieślniczy, utworzyć Rady szkolenia zawodowego przy Ministerstwie W. R. i O. P. oraz Rady okręgowe przy kuratorach, postarać się o pewne zmiany w obowiązującym ustawowo dniu pracy.

Zjazd zwrócił się do Ministerstwa Przemysłu i Handlu o zorganizowanie kursów specjalnych dla czeladników i mistrzów, stwierdził zarazem brak od-



powiednio wykształconych nauczycieli przedmiotów zawodowych. Zażądał otwierania szkół fachowych na ziemiach wschodnich dla podnoszenia tam kupiectwa i rękodzielnictwa. Wezwał stowarzyszenia przemysłowe, kupieckie, rzemieślnicze do zakładania burs dla praktykantów i terminatorów.

Wygłoszono szereg referatów o ustawodawstwie rzemieślniczym, szkolnictwie zawodowym, o roli rzemiosła w historii kultury i t. p.

Prelegentami byli sami mężczyźni. Czyżby kobieta i tu nie miała nic do powiedzenia?

Zapewne—jeżeli podciągniemy pod rzemiosła tylko takie zawody, jak murarza, cieśli, zduna, blacharza, tokarza, kowala, to wchodzimy w pole pracy, objętej przez mężczyzn jedynie. Rzemiosło jednak zazębia się tak ściśle z rękodzielnictwem, że niepodobna ustanowić granicy między niemi. Łączą je wspólne potrzeby, wspólne interesy, wspólne cele i drogi rozwoju.

Czy chodzi o czas pracy, czy o szkolnictwo zawodowe, czy o bursy dla praktykantów i terminatorów, czy wreszcie o sprawy podatkowe i świadczenia społeczne, o unormowanie stosunku do Kas chorych, o urlopy i wynagrodzenia—jedne wytyczne prowadzą do zrealizowania zadań i dążeń. Niema tu przeciwstawięń i rozbieżności.

Udział kobiet w pracy rękodzielniczo rzemieślniczej jest dziś tak liczny — nietylko na stanowiskach wychowawczych, lecz i kierowniczych; niektóre gałęzie, jak kamizelczarstwo n. p., są tak wyłącznie w rękach kobiecych, wytwarzając nowe ustosunkowanie do pracy męskich towarzyszy, że porozumienie narzuca się siłą konieczności.

W szkolnictwie zawodowym praktykantki i terminatorki są stanowczo upośledzone, co zaznaczałam już niejednokrotnie na łamach „Bluszczu“. Gdy w stosunku do uczniów majstrowie pogodzili się już ze „smutną koniecznością“ posyłania

ich do wieczornych szkół dokształcających, dziewczęta natrafiają na górę przeszkód, zabiegliwie wymijających przepisy rządowe.

Brak kapitału nie pozwala rozwijać się rękodzielniczo-rzemieślniczym przedsiębiorstwom kobiecym; ręka w rękę więc powinny iść mistrzynie z mistrzami, gdy chodzi o zakładanie Banków rzemieślniczych, spółdzielni, kas pomocy. Miejsce ich—we wszystkich równorzędnych organizacjach męskich.

Ale wśród rzemieślnic zapanowała jakaś dziwna ospałość. Ciągną swoje taczki; na szerszą widownię jednak nie wypływają, czego dowodem, że nie postarały się o współudział w zjeździe, rozstrzygającym tak niezmiernie doniosłe dla nich sprawy.

Przed zdobyciem równouprawnienia ta garstka kobiet, która walczyła o nie, była wszędzie, czujny duch, nie spoczywający nigdy, bacznym na wszystkie potrzeby.

Dziś—gdy feminizm stanął u szczytu dążeń swoich, kobieta prawie umilkła.

A te—powołane do głosu?..

Tak. Zapewne. Kilka wielce zasłużonych posłanek do Sejmu i Senatu wnoszą i poprawiają ustawy, jeżdżą w delegacjach, reprezentacjach, misjach, dzielnie broniąc spraw Polski. Jedna jedyna radna na całą Rzeczpospolitą Polską rusza się, jest wszędzie, przemawia na międzynarodowych i miejscowych kongresach, kruszy kopje za Polskę wobec wrogów, krytykuje z rozmachem i swadą wszystko złe, strupieszale, niedołączne w kraju, wśród swoich. Jeszcze kilkadziesiąt innych. Niespożyte, samorzutne w poczynaniach swoich jednostki. Twarde żołnierki armji woli, pracy, czynu. Wiemy o nich. Znamy je. Znaczą silnie ślady trudów swoich.

A reszta? Nawet przedstawicielki różnych zbiorowości?

Trudno powiedzieć. Może lękają się szerszych wystąpień, a może stale, nieustannie przeocząją chwilę.

C. Walewska.

## RODZINA JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY I SPOŁECZNY

2



Nieograniczone prawa ojca rodziny przeszły częściowo na kościół, państwo, społeczeństwo, pozostawiając rodzinie znaczenie podstawowej komórki społecznej, mającej na celu przygotowanie jednostki do życia, rozwinięcie w niej charakteru, pielęgnowanie uczuć, przechowywanie w czystości najwznioślejszych ideałów religijnych, narodowych i ogólnoludzkich.

Zanim jednak rodzina wyzwoliła się w zupełności z wszelkich więzów pogaństwa i nabrała podniosłego charakteru instytucji chrześcijańskiej, przyszło znów zepsucie i rozluźnienie obyczajów w wiekach średnich, które na długo zachwiało podstawy rodziny. Wiek odrodzenia i humanizmu nie przyczynił się również do ich wzmocnienia, ogólny zaś upadek ducha religijnego w wieku oświecenia oraz podanie w wątpliwość samej potrzeby i skuteczności wychowania nie mogły pomyślnie oddziaływać

na rolę i znaczenie rodziny. Stałe w ciągu wieków upośledzenie, w jakim znajdowały się kobiety, było jedną z głównych przyczyn, iż rodzina w ogólnym dorobku kulturalnym ludzkości nie wyczerpała przeznaczonych sobie zadań, nie wniosła doń tyle wartościowych pierwiastków, ileby z jej charakteru wynikało.

Wreszcie najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla rodziny i jej zadań stało się ogólne zmaterializowanie, upadek obyczajowy, ograniczanie rodziny, przybierające cza-



sem, jak np. we Francji, rozmiary klaszki społecznej — wszystko to są jakgdyby fale, zalewające ciągle i niepowstrzymanie zręby idealnej budowy, zwanej rodziną.

Dziś, gdy po wielkim przewrocie dziejowym ludzkość jakby z od-dali spogląda na dotychczasowe swe dzieje, gdy pragnie rozpatrzyć i przebudować wszystko, co może ją wieść ku lepszemu, wyższemu życiu, musi z tego wstrząśnienia wyprowadzić odrodzoną, wzmocnio-ną, opartą na czystych pierwiastkach uczuciowych instytucję ro-dziny.

Spółceństwo nasze, stojące obyczajowo (śmiało to powiedzieć możemy) o wiele wyżej od innych narodów, czerpać może hojnie z przeszłości swej wzory i pobudki do odrodzenia i podniesienia życia rodzinnego.

W czasach przedchrześcijańskich znajdujemy u nas, jak wszędzie, ogólny typ rodziny patryjarchalnej w formie rodu czy gminy z instytucją wielożeństwa i zwykłym z tego powodu upośledzeniem kobiety. Po wprowadzeniu chrześcijaństwa i długim okresie walki między pierwiastkiem pogańskim a chrześcijańskim, ustala się wreszcie u nas typ rodziny chrześcijańskiej, ściśle monogamicznej i indywidualnej, gdzie kobieta może rozwinąć swój wpływ i działalność, staje się współpracowniczką męża, jego „połowicą“, dźwigając na swych barkach nie tylko cały trud wychowania dzieci, lecz niejednokrotnie zarząd całego mienia. W ciągu wieku XIV-go i XV-go w warstwie ziemiańsko-rycerskiej wytworzyła się ostatecznie typ rodziny polskiej ze swym kul-tem tradycji narodowej, surowym poczuciem obowiązków rycerskich i obywatelskich, głęboką religij-nością. Przeważną zasługę wytworzenia takiej rodziny przyznać mu-simy kobiecie polskiej, która nie tylko zdołała wychować synów w dzielności i harcie rycerskim, w zasadach twardej karności i czci dla rodziców, córki — na dzielne obywatelki i wychowawczynie, lecz wpływ swój umiała rozciągać wo-koło jako dobrodziejka kościołów, opiekunka gromad włościańskich i drobno-szlacheckich, częstokroć samodzielną administratorką całego majątku. Zepsucie obyczajowe wieków średnich na Zachodzie nie przeniknęło do tych twierdz mo-ralności, jakimi były ówczesne rodziny polskie, szlacheckie; szerzyło się ono głównie w miastach wśród niemieckiego napływu miesz-czaństwa. Wiek XVI-ty wraz z za-miłowaniem do zbytku i swawoli zaczyna wnosić nieznane przedtem

pierwiastki zepsucia, lecz nie do-prowadza jeszcze do zaniku cnót rodzinnych. Dopiero szerząca się w następnych dwóch stuleciach cudzoziemszczyzna narusza surowe zasady moralności wśród kobiet, podkopuje podstawy życia rodzinnego, doprowadza do rozprzężenia i upadku rodziny. Przodujące daw-niej cnotą warstwy możnej szlachty wielkich rodów, przedstawiają pod koniec XVIII-go wieku zupełny zanik poczucia moralnego z nielicznymi jedynie wyjątkami. Natomiast szara masa średniej i drobnej szlachty wobec napływającej cudzoziemszczyzny usiłuje przeciw-stawić jej dawną tradycję narodo-wą, lecz wpada w ogólny błąd — zamieniając trzymanie się tradycji narodowej w zupełne wstecznic-two, a dawną karność rodzinną i surowe staropolskie wychowanie w despotyzm rodzicielski i pro-stactwo. Tak silną jednak była i niezmierzona wartość zaszczepio-nych w duszach pokoleń cnót i za-sad chrześcijańsko-rycerskich, tak długotrwałym wpływem dzielnych matron polskich, tych „matek-oby-watelek“, których typ nie zaniknął w czasach najwyższego zepsucia, iż ogólny rzut oka na dzieje na-szej kultury aż do lat ostatnich zmusza nas do stwierdzenia, że istotnie, według słów Wł. Łoziń-skiego: „Polska stała rodziną“. (Łoziński: „Życie polskie w daw-nych wiekach“).

Rodzina spełniała przeważną część tych obowiązków, które na-leżeć winny do państwa, być spra-wowane przez władze, strzeżone przez ustawy. Wobec rozprzężenia karność obywatelskiej, samowoli, braku ładu w życiu państwowem i społecznem, rodzina polska „była bodźcem i hamulcem zarazem, bodźcem swoją tradycją i ambicją, hamulcem swą poczciwością i karnością“. (Łoziński: j. w.) Obowiązek, przyjęty na siebie, spełniała aż do końca. „Była najsilniejszym funda-mentem obywatelskim i narodo-wym i w najgorszych czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie; przechowała w so-bie wiernie wszystko, co było wa-runkiem i rękomią odrodzenia“. „Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicz-nych“. (Łoziński: j. w.).



Wobec bezkarności i pobłażli-wości publicznej opinii, potępiająca niedogodne wybryki i nie dopuszczają-cą na swój próg człowieka, po-zbawionego czci.

Znaczenie rodziny tem było po-łężniejsze, iż niezmiernie szeroko pojmowano jej granice i poczuwa-no się w najobszerniejszym zakre-sie do wspólności i solidarności ro-dzinnej. Lecz jednym z najważniej-szych powodów powagi i wielkości tej instytucji u nas było prawdzi-wie dostojne stanowisko kobiety jako żony, matki i obywatelki. Dzieje nasze dostarczają nam ca-łego szeregu postaci kobiet wiel-kich głębią pojmowania swych obowiązków rodzinnych i obywa-telskich, całego szeregu jednostek, wywierających wpływ na sprawy publiczne, w znacznej części wy-padków dodatni. Pewne braki w wy-kształceniu kobiet w porównaniu z Zachodem, brak wyrobionego życia towarzyskiego, zatrzymują większość kobiet, poza nielicznymi wyjątkami, w ramach zamkniętego życia domowego. Warunki te, przy bogatych zaletach charakteru i głę-bi uczucia, przy prostych i jasnych zasadach religijnych kobiety — Pol-ki, wytworzyły ten wysoki typ ro-dziny polskiej, ową ostoję poczu-cia moralnego i obywatelskiego, tę rodzinę, która potem w długich latach klaszki i rozbicia stała się „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty“, przechowała wier-nie i „przędę myśli, i uczuć kwia-ty“ i stanie się, stać się musi źródłem i ośrodkiem pełnego odro-dzenia narodowego.

Widzimy więc, że nie darmo szu-kać możemy w przeszłości naszej natchnień i wzorów do odtworze-nia ideału rodziny. Lecz czerpanie wzorów z przeszłości, opieranie się o tradycję nie polega na przenoszeniu żywcem form przeszłości do życia współczesnego. Inne wa-runki życia społecznego inne nam też stawiają wymagania. I nie mo-żemy kreślić wzoru rodziny dla nielicznej garstki uprzywilejo-wanych.

Wniknąwszy w podstawy bytu szerokich warstw, ujrzymy, że tylko zmiana ekonomicznych warunków może nam umożliwić przeprowa-dzenie reformy życia rodzinnego. Dać matce rodziny możliwość wy-chowywania swych dzieci, umożli-wić jej przebywanie w obrębie do-mowego ogniska, nie opuszczanie go dla pracy zarobkowej — to jeden z pierwszych warunków normalne-go życia rodzinnego. Nieobecności matki w domu nie odkupi umiesz-czanie dzieci w zakładach publicz-nych; to wychowanie koszarowe



niezgodne jest z duchem naszego narodu, z poszanowaniem właściwości indywidualnych, z potrzebami zarówno jednostki, jak kraju. Jeśli wykazaliśmy jasno, że tylko w rodzinie jednostka może rozwiniąć przyrodzone skłonności, scharmonizować potrzeby indywidualne z wymaganiami służby społecznej, przez miłość rodziny nauczyć się kochać społeczeństwo, a potem ludzkość — to zgodzić się musimy, iż najpierwszą sprawą jest zapewnienie wszystkim bez wyjątku możności utrzymania wyższego charakteru ogniska rodzinnego przez bezpośredni kierunek i pracę matki rodziny. Lecz do tych zadań musimy przygotować kobietę. To też reforma wychowania kobiet jest drugim, niezbędnym warunkiem uzdrowienia rodziny. Niesłusznie zapomniana myślicielka, El. Ziemięcka, wyra-

ziła to jasno, mówiąc o wychowawczym wpływie kobiety: „Jakich ona synów poda światu, takich świat jej zwróci mężów” — i nie tylko mężów, ale braci, ojców — przyszłych wychowawców następnych pokoleń.

Nie wystarczy jednak umożliwienie kobiecie pracy w rodzinie, ani najlepsze z jej strony do tej pracy przygotowanie, dopóki nie zapanuje w społeczeństwie przekonanie, że rodzina to instytucja święta i wzniosła, że podstawą i początkiem jej powstania nie może być zimne wyrachowanie lub chwilowa namiętność, lecz głębokie, czyste uczucie, które łączy dwoje ludzi na wspólne szczęście i cierpienie, daje im silną wolę tworzenia nowego życia, wyższego i doskonalszego. Dopóki kobieta i mężczyzna nie będą

patrzyli na siebie jako na współuczestników w tej wielkiej twórczej pracy, dopóty rodzina nie odzyska właściwego sobie stanowiska i znaczenia.

Zastanawiając się nad obecnym stanem rodziny, stwierdzić musimy, iż wiele bardzo pracy do jej podniesienia potrzeba. Widzimy jednak, iż wraz z ogólną, wytężoną pracą nad odbudową wskrzeszonego Państwa, zjawiają się wyraźne i celowe usiłowania do skoordynowania i zorganizowania rozproszonej dotychczas pracy nad udoskonaleniem i podniesieniem rodziny. Możemy więc z otuchą patrzeć w przyszłość i wierzyć, iż dziś, gdy nam wreszcie zaświeciła „jutrzienka swobody”, będziemy mieli wolę i moc, aby wytrwale dążyć tam, gdzie jaśnieje „zbawienia słońce”. \*)  
(Koniec). J. R.

#### PIŚMIENICTWO

1. Borowski W. M. Ogólne zarysy wychowania narodowego.
2. Braun Lily. Historia rozwoju ruchu kobiecego.
3. Drobniewska M. Co rodzice swym dzieciom dać mogą i powinni.
4. Engels. O pochodzeniu rodziny.
5. Fustel de Coulange. La cité antique.
6. Hopkins Ellice. Matki i synowie.
7. Karpowicz St. Cel i zadania wychowawcze.

8. Korczak J. Jak kochać dziecko?
9. Kowerska Z. O wychowaniu macierzyńskim.
10. Kaczkowski Z. Kobieta w Polsce.
11. Lavedan. La famille française.
12. Legouvé. Ojcowie i dzieci.
13. Łoziński. Życie polskie w dawnych wiekach.
14. Masson. Wychowanie domowe.
15. O wychowaniu. Zakład Kórnicki.

16. Plater-Zyberkówna C. Kilka myśli o wychowaniu w rodzinie.
17. Szmigielski J. ks. Moralna i społeczna rola rodziny.
18. Supiński J. Myśl ogólna fizjologii wszechświata. Pisma. T. I.
19. Thomas. L'education dans la famille.
20. Trentowski. Chowanna.
21. Wagner. Podstawy życia rodzinnego.
22. Zarzecki L. Wychowanie narodowe.
23. Ziemięcka El. Myśli o wychowaniu kobiet.

## JOSEPH DELTEIL O JEANNE d'ARC



o za osobliwa książka! Dziwactwa jej pierwszych stronic mogą, niestety, zniechęcić, a jednak warto przeczytać całość i zastanowić się nad nią głęboko. Zjedny-

wa już w samej przedmowie krótkie wyznanie:

„Jeśli przedsięwzięciem napisać żywot Joanny d'Arc, to przede wszystkim dlatego, że ją kocham. Oto powód wystarczający!”

Istotnie. Tyle jest książek, poczętych z zimnego wyrachowania jedynie z pychy albo nawet i z nienawiści (jak np. monografia Treliaka o Słowackim!), że szkic Delteil'a musi interesować i pociągać już choćby tylko jako „dziecko miłości...”

Ten rodowód nie jest bynajmniej frazesem. Na każdej niemal karcie wyczuwa się coś więcej, coś znacznie gorętszego, niż zwyczajne „wzy-

wanie się” w opracowywany temat. Snać autor należy do tych, którym cudowna rycerka Francji stała się „namiętnością życia” (jak mówi biskup Vannes do Mgr. H. Débout). Jest to doprawdy jakieś tajemnicze obcowanie dusz nad otchłanią wieków, wyłamujące się chwilami, poprzez opisywany bieg zdarzeń, w takich np. słowach:

„Oto Dziewica wybucha w mojem sercu! O, Joanno, Joanno, jakże zupełnie moją jesteś! Tyś jest wcieleniem mojego snu, bohaterką mego dramatu i jeśli przypadkiem nie byłabyś istniała, to ja z pewnością zabrałbym się do stworzenia ciebie, takiej właśnie!”

Delteil nie traktuje Joanny czysto historycznie. On nawet jawnie lekceważy: „dokumenty i koloryt lokalny, wszelkie „starzyzny Historji...” Chce nam dowieść, że to „nie legenda, nie mumja,“ pokazać siłą uczucia dobyte „świeże kolory i cielesny uśmiech,“ chce przybli-

żyć naszym oczom żywą Joannę d'Arc, młodą, genialną, a prostą dziewczynę.

Chwyta się w tym celu środków, dość czasem dziwnych. Cały opis urodzenia i niemowlęctwa jest, zdaniem mojem, chybiony, bo ostatecznie te same mniej więcej refleksje dałyby się zastosować do każdego dziecka. Prawda, że zawsze „sens i podstawa nadnaturalnej wielkości“ musi spoczywać w kolebce, lecz odszukanie tych ziarn, zaledwie kielkujących, nie jest łatwym i w tym wypadku nie udało się wcale.

W dalszym ciągu zadziwia czytelnika, że 20 letnia Joanna, obsługując całą rodzinę przy jedzeniu, stawia na stół właśnie ziemniaki, które wszak sprowadzone zostały do Europy dopiero w 200 lat po jej śmierci! Gorzej jeszcze, że w Orleanie rozentuzjzmowana ludność rzuca na nią confetti i śpiewa Marsyljanek (!), zaś później, na



jakiejś samotnej przechadzce, nowy bieg nadaje myślom Dziewicy spostrzeżony nagle drogowskaz z napisem: „Do Domrèmy 120 km!”

To są cudactwa, które rażą, i z pewnością nie one zbliżają nas do Joanny. Przeciwnie, trzeba je dopiero przezwyciężyć, aby ujrzeć niezaprzeczone piękności tej książki.

Jedna z nich—to sposób ujęcia wizji, które sama Dziewica nazywała „swojami głosami.”

W świętych, odwiedzających 13-letnią pastuszkę, widzi Deltail „towarzyski niebieskie,” które ją częstują śliwkami, doją jej krowy, a potem, wzięwszy dziewczynkę pomiędzy siebie, przechadzają się po łące, splecione ramionami, „wszystkie trzy tak piękne, tak świeże, tak czyste, tak podobne, że już niewiadomo, która to Joanna, która Katarzyna, a która Małgorzata.”

Wśród tego wszystkiego mówią o jej przyszłej misji, jak o rzeczy zupełnie naturalnej:

„Joanno, Bóg Cię prosi, abys była kobietą wojowniczą i rozka-

zywała żołnierzom. On odejmie cię ciebie wszelką trwogę...” odlatując wybuchają okrzykiem patetycznym: „Joanno, Joanno strzeż się! Bóg kocha Ciebie do szaleństwa!”

Śliczny jest także opis nagłego upadku ducha na pierwszym noclegu poza domem, a potem spokojnej nocy pod niebem, „gdzie rozkazy Boga wypisane są gwiazdami” wśród śpiewu słowika, który „wzbija się ku planetom i zstępuje ku Joannie tak, że stopniowo ptak jako twór fizyczny gubi się w przestrzeni snów i oto teraz... Francja śpiewa...”

Tak właśnie być mogło; któż wie, czy tak nie było?

A potem, gdy Dziewica przybywa z wojskiem na pomoc obleżonemu miastu, witana wybuchem radości tłumów, „cały Orlean był jedną szaloną kobietą, która zawisła na szyi Joanny d'Arc.”

Autor idzie nią poprzez wszystkie koleje wspaniałych losów, starając się patrzeć jej własnymi oczyma, a czasem oczyma współ-

czesnych. I więcej: on chce ją uczynić współczesną nam, „znieść wieków przedział.”, bo przecie w gruncie rzeczy dusza ludzka jest zawsze ta sama, a geniusz i świętość zawsze możliwe. „Wszyscy się dziwili (uwięziwszy ją), że ten piorun wojny, ten demon, ta święta—to była ostatecznie tylko młoda, 18 letnia dziewczyna. Ach, tak! Joanna d'Arc—to dziewczę lat 18-tu w kapeluszu „cloche,” w pończochach jedwabnych. Trzeba wyobrazić ją sobie jakby naocznie, dotknąć rękoma. Wyobrazić—to odmłodzić. Dziś... ona pisze na maszynie, albo jest panną sklepową w Galerji Lafayette. I nagle wyjeżdża, staje na czele armji francuskich, podbija Europę, Azję.” Oto prawdziwa Joanna d'Arc.

W tych właśnie słowach objawił się najdobitniej jedyny w swoim rodzaju charakter tej biografji. Taką książką, mimo wszystko, coby jej zarzucić można, ma głębokie prawo do życia, bo jest dziełem talentu i gorącej duszy.

Z. Zawiszanka.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

### CZEŚĆ II.

16

#### NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Archaiczny pień psychiki niewieściej rozwidła się na pięć konarów: Intuicja, Wrażliwość, Miłość, Poświęcenie, Altrocentryzm.

Z nich wywodzą się wszystkie gałązki i gałęzeczki drugorzędnych cech dodatnich i ujemnych.

Z intuicji wypływa przenikliwość; znane i sławne po wszystkie czasy jasnowidzenie kobiety, której wzrok przenika czas i przestrzeń, a nadewszystko dusze ludzkie, czyniąc ją instynktownym psychologiem.

Z intuicji pochodzi także jej pewność siebie, wiara w nieomylność swego sądu, niedopuszczająca polemiki i nie znosząca krytyki.

Kobieta jest przekonana, że ona potrafi w każdej kwestji powiedzieć ostatnie słowo, że ona zna sekret i sposób na wszystko: na wywabienie plam atramentowych, na bezsenność i na niewierność mężów. Jej lekarz jest najgenialniejszym na całą kulę ziemską, jej ulubiony wirtuoz jedynym, który potrafi zagrać Chopina. Jej higiena najracjonalniejsza tak samo, jak jej opinie polityczne i poglądy filozoficzne.

Będzie uwielbiać cię i kochać, tylko musisz we wszystkim z nią się zgadzać i rzec się swojej woli.

Tyle pewności siebie miewa tylko intuicjonista. Intuicja jest jak natchnienie. Któż natchnienie—jeśli je ma—poddawać zechce dyskusji? W natchnienie się wierzy wiara, która narzuca się umysłowi z siłą niewyciężoną.

Ten rys kobiecego charakteru Gina Lombroso uważa za opatrnościowy! Jakżeby wyglądał domowy świątek, złożony z niemowląt, dzieci, służących, zwierząt i roślin, gdyby ten, kto nim rządzi chwiał się od skrupułów hiperkrytycyzmu, paraliżowany wciąż wątpliwościami wysokiej świadomości?

Dziecko dostało krupu, ogień wszczął się na strychu—noc, wieś. Tu trzeba myśleć i działać jednocześnie jak grzmot i błyskawica piorunu.

Pewność siebie ma rozmaite stopnie i nie zawsze pochodzi z intuicjonizmu.

Zarozumiałość jest często rezultatem ciągłego obcowania z istotami od nas niższymi.

Są fachy, które ją wyrabiają

w charakterze: pedagog, mający wciąż do czynienia z tymi, których naucza—obywatel wiejski z ekonomami i parobkami, kobieta ze służącymi i dziećmi. Człowiek przyzwyczajony do tego, że jest autorytetem i nabiera złudzenia, że jego względna wyższość jest absolutną.

Z tego wywiązuje się despotyzm. Despotyzm jest wiarą w swą wyższość i nawykiem do rozkazowania.

Despotyzm jest bardzo często cechą miłości. To obojętność jest grzeczna i pełna tolerancji: „Rób, co chcesz, bylebyś mnie dał spokój”. Jeżeli pani X wybiega z balowej sali do zimnego przedpokoju—poprzestaną na nieśmiałej uwadze, jeśli to jest osoba dla mnie obojętna, ale jeśli to jest moja żona? To jej narzucę szal na plecy gwałtem i piorunując ją spojrzaniem: „warjotka!” szepnę przez zęby... Jeśli piją moi dobrzy znajomi, zaledwie mój cierpki usmiech powie im, co o nich myślę... Ale jeżeli sięga po butelkę mój mój, chory na nerki—to mu ją wyrwę z rąk i cisnę o ziemię! Ja



nie pozwolę, aby mi on rujnował swoje zdrowie.

Proszę sobie wyobrazić, że kolja brylantowa zażądała ode mnie autonomji; chce chodzić sama, gdzie chce i kiedy chce? Ładny interes! Przecież ona jest moim skarbem, który mi zginie!

Niel to ja lepiej zamknę ją na klucz.

Kobiety mocno wierzą w swoją nieomyślność i mocno kochają—kobiety są wielkie despotki.

Błagała raz żona męża, aby wziął ze sobą rewolwer. „Będziesz nocą jechał przez las, będę odrobinę mniej niespokojną, wiedząc, że masz broń przy sobie”. Ale on zdenerwowany jakimś przykrem zajściem, jak to zwykle bywa w zdenerwowaniu, zaciął się: nie i nie! A ona: weź i weź!

Wreszcie w najwyższym zniecierpliwieniu chwycił za rewolwer, który żona położyła na wierzchu otwartej walizki, i cisnął nim o ziemię. [Rewolwer był nabity. Oprzytomniawszy, zbladł śmiertelnie...

A żona, triumfująca, uszczęśliwiona, śmiejąca się przez łzy, ucałowała obie jego ręce i brauning wsunęła mu do kieszeni. Wiedziała, że teraz, zmiażdżony tem, na co się poważył, już się na opór dalszy nie odważy! Tak zwycięża despotyczna Miłość! Potraktowana szorstko, czasem brutalnie, znosząc zniewagi, nie ustąpi, postawi na swoim!

Bo jej się zdaje, że ten szpakowaty mężczyzna, dwa razy od niej większy, to jest taki „robaczek”, którego lada kaczka połknie, gdy jej przy nim nie będzie..

Jej się zdaje, że na tę głowę specjalnie czyha Zły Los najbardziej zawzięty na głowy, najbardziej umiłowany; jej się zdaje, że głowa ta zginie, jak tylko wyjdzie poza promień jej wzroku, że czy jej jak sokoły, dookoła niej krążące, odpędzają od niej nieszczęść! Takie jest święte złudzenie Miłości, które, kto wie, jak dalece jest złudzeniem?

O! obojętność elegancka jest i lekka! Miłość często okrutnie w pożyciu zawadza i cięży... Niestety, najzarliwsze Miłości bywają bardzo często znienawidzane!

Bo odbierają człowiekowi wolność!

My, kobiety grzeszymy — mea culpa, mea maxima culpa! bardzo często tym despotyzmem serdecznym. Nauczmy się rozmach go hamować. Tylko w sprawach, że się tak wyrażę, „gardłowych”, gdy krok jakiś ma znaczenie łufy rewolwerowej, przystawianej sobie do skroni, wtedy tylko dawać mu folgę. W innych wypadkach, nie zważając na śmiertelny niepokój,

poprzestańmy na niemej prośbie kochających oczów.

Manja: mieć zawsze rację, być zawsze o wszystkim najlepiej poinformowaną i stąd samozwańcze prawo: wszystkim mentorować, wszystkiemi komenderować jest oczywistą przyczyną niezgodności i swarliwości kobiet. Dwóch komendantów nie może być w jednej twierdzy—nie może być dwóch kobiet w jednym domu, a że często musi ich być nieraz więcej niż dwie, więc gdy wszystkie mentorują i komenderują, dzieje się to ku powszechnej niezgodzie i niesnaskom. Mężczyzna często słucha drugiego mężczyzny, stara się z niego wyciągnąć dla siebie jego wiedzę i doświadczenie, kobieta tylko poucza, a ta, która jest pouczana, myśli o czem innym.

Mężczyzna poddaje się dość łatwo despotyzmowi kobiecemu, przyzwyczajany do niego od dzieciństwa.

Nie dlatego, iżby znajdował się pod tak zwanym „pantoflem” i woli swojej nie miał—tylko ten despotyzm nie krępuje go wcale, działając na polu dla niego obojętnem. Mężczyzna robi ustępstwa z tego, co dla niego nie ma żadnej wartości. Kobiety będą się kłócić, czy okno ma być zamknięte, czy otwarte?

Jedna się boi cugów, drugiej jest zawsze duszno.

Mężczyzna za małą ma na to wrażliwość, o higienie niema czasu myśleć, pochłonięty swojemi „interesami”; on poprostu nie wie, nie widzi, czy okno jest otwarte, czy zamknięte?

Czy postawić kanapę pod oknem, czy pod piecem? Dać firanki białe czy kremowe? Dla kobiet jest to kwestja piękności domu, która jest pięknością świątyni!

Dla niego są to dzieciństwa.

Spotkawszy się na mieście, zaimprowowały spacer razem. Gdy idzie mężczyzna z mężczyzną lub mężczyzna z kobietą tak, jak te dwie, à l'improvise, wybór drogi, a nawet celu jej robi się niewiadomo jak i kiedy?—niewiadomo czy je zdanie tak jakoś automatycznie przeważa... skrzyżują się krótkie pytania i kiwnięcia głowy!

„Pójdziemy tędy?”—„Tamtędy?” Kto kogo prowadzi trudno zdać sobie sprawę?!—tak szybko, niespostrzeżenie wola gnie ku sobie wolę. Ale jeżeli to będą dwie kobiety, jedna z nich napewno trafi się z tych, co to natychmiast obejmują komendę... Pani B., mająca oczy słabe, machinalnie skierowała swe kroki w stronę cieniu. Została natychmiast skrzyzczana!

„A któż to teraz cieniem chodzi?” (pani A. przeszła w tej chwili

na stronę słoneczną — ale szal mentorski był już rozpętany).

„Możeby pani jeszcze zapuściła na twarz woalkę? i rozpięta wielką parasolkę?—ha! ha! ha! dawne kobiety drżały o białość cielej skóry, a my teraz lubimy bronzową. Ludzie pławią się w słońcu! Proszę patrzeć: mężczyźni idą z kapelusami w rękę”. I tak dalej... cały wykład!

W ogrodzie pani B. skręca na lewo dla tej prostej przyczyny, że pani A. nie skręciła na prawo. Ach! pani A. zostawiła jej wybór perfidyjnie: aby było o co wytoczyć proces. „No, no... (mruzczała ironicznie) ja tutaj będę po raz pierwszy... naturalnie i ostatni!... Tutaj się nie chodził! tu jest tak ordynarnie., brakuje tylko kur i wieprzka”. „Ja zaś (podjęła pani B) bardzo lubię tę część ogrodu... Ścieżki tu są wąskie, bezpretensjonalne, brzegiem trawników rosną kwiatki naiwne, leśne i polne... Przypomina mi to ogrody wiejskich dworców”. „A rzeczywiście! rzeczywiście!... A na tamtej stronie ma pani pagórki, doliny, mostki wiszące i groty. Miejsce jest zachwycające... słyszałam to z ust największych artystów i literatów. Tę część ogrodu wykonano wedle rysunków wielkiego budowniczego dekoratora, Włocha... Czytałam o tem w monografji takiej a takiej. Ale pani ma we wszystkim taki dziwny gust! bardzo dziwny gust!... natrzęsała się, wyrzucając ramionami, z ironicznym parsaniem i pogardliwym prychnaniem...

Pani B. wróciła do domu zmęczona tym spacerem, jakby młóciła cepami. Proszę sobie wyobrazić rozkosze spaceru, gdyby się zeszły dwie komendantki?!...!

Zarozumiałość kobiet bywa jednak niekiedy z rozrozumiałością zdeptyanych.

Zbyt wygórowana samoocena jest często przeciwwą zapoznania i niedocenia przez ludzi.

W ten sposób organizm moralny zwalcza depresję, jaką na duszę nawiewa nieuznanie świata, niepowodzenie w życiu.

Samoocena ta bywa często wcale nie przeszarżowana, bywa całkiem sprawiedliwa, ale świat ją piętnuje zarozumieniem, bo gniewa go delikwent, którego egzekucja nie jest w stanie uśmiercić. Kto wierzy w siebie, ten prześladowanie przetrwa.

Prawda, że temu zawdzięczają uporczywe swoje trwanie niektóre megalomanje, ale i w ten sposób ocala się zapoznany genjusz.

Żdźbło słomy, które świat ciężarem swoim przygniata, a ono jeszcze dumnie się prostuje, to żdźbło jest bohaterskiem! (c. d. n.)



MARJA DĄBROWSKA

## NAJDALSZA DROGA



adało tak niemiłosiernie, że Kaczmarkowie prawie przez całą drogę milczeli. Dopiero gdy się zaczęło zbliżać do kopczyka, obrośniętego tarniną, w której stał krzyż, powychylali twarze i ożywili się cokolwiek.

— Rusocin — powiedział fornał, moknący na przodzie wozu, i wskazał krzyż biczyskiem.

— Granica? — zapytali, a potem, otarłszy z lic strugi deszczu, przypatrzyli się polom.

— Ładnie majom pod wszystko zrobione — ucieszyli się.

Zauważyli jeszcze przeszloroczne sterty, szare od wpływów niepogody — a widząc wyrastające na stronie bure kudły zarośli i dachy pomiędzy niemi, zaczęli się rozprostowywać i strząsać z siebie ulewę.

Julka, wstawszy nieco, zajrzała do kota, który mieścił się zawiązany w worku pod balją.

— Nic nie zmók — rzekła z triumfem i uniósłszy baljiki, poklepała kotłujący worek w miejscu, gdzie czuła ciepły, bodący zgrzebną parcianę, łeb.

Wóz wykręcił koło ceglanej kapliczki w lewo i prawie natychmiast stanął.

Kaczmarkowie wejrzeni bez uciechy na swoją nową siedzibę. Osowiały czworak, popodpierany drągami, stał na wydmuchu daleko za drugimi. Dlaczego tak daleko? Naokoło porozrzucane jakieś brudy i gnoje. Było zimno, wiatr szarpał wszystkim, deszcz ciekł z każdej rzeczy, może dlatego to miejsce wyglądało na osamotnione, nieprzyjemne. Jedna Julka zdawała się niczego złego w tem, co tu było, nie upatrywać.

— Tośma przyjechali, krzyknęła rażno i pierwsza zeskoczyła z wozu. Poczem, wyciągnąwszy ręce wołała, żeby jej podawali kota, Józia i wszystko.

— Ta sie cieszy z ty przeprowadzki, jak nie wiem. Coby ino nie było, to ona rada — pośmiała się matka, ściągając z wozu toboły.

Starzy radzi nie byli. Przewłoczyli się tyle razy, wiedzą, że wszędzie jest lepiej na początku, a potem wszędzie gorzej. A tu nawet odrazu nie bardzo im się podobało.

Zanim pownosili rzeczy, Kaczmarek obszedł domostwo naokoło.

— Tośmy ta mieli w Jarantowie lepsze mieszkanie, rzekł ze spóźnioną rozpaczą, powróciwszy do wnętrza.

— Nie chiołeś tam być — to musisz mieć jak mosz — przywróciła go matka do rzeczywistości. I przestraszona dodała:

— Idź do rzeczy. Trza co duch pozdymać i pownosić, bo kiej co zrobisz do wieczora.

Lepiej było, żeby się zawczas nie rozglądał po mieszkaniu i nie tracił przez to ducha.

Wyszykowano chałupę dość uczciwie, ale mimo to była taka, że aż po skórze od niej darło.

Mularz zrobił ściany za sino. Okienko, zalane strugami deszczu i połatane z krzywych szkiełek, zaledwie dawało co widzieć w tej stancji.

Mimo to rzeczy złowrogie prędko rzucały się w oczy. Oto na powale między belkami pokazały się jakieś plamy i piętna. Mogło to być niewyschnięte wapno, lecz prędzej wyglądało na zacieki. Klepiska nie urównali — tak niemiło było po niem chodzić. Zasuwka przy drzwiach zepsuta. Jak się wszystko robi, poustawia, nie będzie tak znać, ale jeżeli stary teraz zobaczy, to gotów od kwartału odchodzić.

Matka miała już tego dosyć.

Nigdzie nie byli dłużej nad rok. Na wielu miejscach służyli po pół. To on nie chciał, to znów jego nie chcieli. Najlepiej mieli dwa lata temu. Już myśleli, że tam będą długo, lecz musieli odejść przez to, że ona miała wielką chorobę. No miała. Dlatego też tembardziej chciała się tak gdziegdzić, żeby już zostać na dobre. Nie iść ciągle do nowych ludzi ze swoim nieszczęściem. Gdzie się w kącie przyczaić i dokonać skłopotanego życia. Dzieci tylko, te co nie poumierały, jako odchować i w świat dać, żeby na macochę nie musiały płakać. Na myśli tę o dzieciach weszła Julka, mówiąc żywo:

— Niesom łóżka i skrzynke.

— Tobie sie tu podoba? zagabnęła ją matka. Przecież tylko o nią i o ojca chodziło. Józio — dziecko, a ona i Zuzia — niedojdy.

— E- e ludzie gorzy majom i żyjom — odparła dziewczynka i pooglądała badawczo wszystkie kąty.

— A gdzieś Józia ostawiła?

— Józiu tam sobie lota kole kóni.

— Na taki dyszcz. Weź go, lo-boga do chałupy.

— Co mo tu zawodzać. Przecie nie zima, ino kwiecień — i Julka rzuciła się w stronę ojca.

— Ady tatal! Jak wy stowiacie to łóżko. Tak nimożno stowiac, bo sie zajmie od ognia.

— Co sie ma zajmować. Tuby sie zajeno — ale tu sie nie zajmie.

— Kiej patrzta, że tu za blisko blachy. Tam je trza posujnać.

— Jak je posujniesz, to skrzyniekaj postawisz?

— Tu jom postawie niedaleko okna — zaro kole stoła.

— Bez co tu?

— Ady tu będzie za drugom ławke — a jak sie na nij usiedzie, to tu stąd widać bez okno.

— Widzita, ludzie. Bez okno będzie patrztała. Co ta mosz za tem oknem? Gnojówce jakom — albo co.

Julka wyglądała zapalczywie na coś bure, zagmatwane, poprzetręcane, co widać było za sztukowaną szybką.

— A nieprawda mówiła. Tu bez okno czyjs sadek widać. — O rety, jak tyż go ładnie widać. Ino bez dyszcz sie pozamazywało.

— Gdzie ta mosz sadek? Gdzie ta mosz sadek?

Jednak wszyscy się zbliżyli i wsparci rękami o górną futrynę okienka (było tak niskie), patrzyli a patrzyli. Tak, było widać sadek. Tak było go widać, lecz bardzo, bardzo daleko. Było go widać między chlewikiem a kupą chrustu za długimi zagonkami na kartofle aż w starej gospodarskiej wsi.

Zuzia pierwsza odeszła, jęcząc, od okna.

Była najstarsza, ale od czasu, jak się wkręciła w sieczkarnię, żeby się utknęło w sercu i ciągle mglała albo płakała na głowę. Co się musieli nstarać, żeby ją przy jakim takim zdrowiu utrzymać. — Rujnowali się przez nią na obcą posyłkę, lecz tym razem napała się, że sama będzie chodzić na pańskie.

Patrzyli tedy z przestachem, jak znów cierpi — gdyż nie można służby zaczynać od tego, że posyłka jest chora.

— Zuzia, co cie głowa boli? Ady trza — jej co dać na te głowe, bo tak na niom płacze a płacze.

— Zaro polete poprosić gdzie octu — aby tu się uskromię — obiecała Julka.

Ojciec wyszedł jeszcze przeszukać słomę na wozie i przyprowadził krzyżącego wniebogłosy Józia.



— Co ty chcesz, dziecko? co ty chcesz? — pytała Julka, zdejmując mu czapkę i poczesując palcami włoski.

Chciał chodzić po błocie i jechać dalej konikami.

Śmiejąc się, Julka wystawiła głowę za drzwi, nawoływała:

— Konie! Koniki! Podjeżdżajcie po tego Józia. Niech ta sobie jędzie bez mamy, bez taty w dwa światy, w trzy światy.

Wiatr nadleciał i coś zaczęło przyskać na obfitych zielonych pąkami krzaczekach, po strzesze chlewiku, po chruście.

— Grad — rzekła Julka i zamknęła stanowczo drzwi.

Józio, który patrzył w milczeniu na jej zabiegi, znowu zaryczał.

— Dej go Zusi, niech go pobawi — stęknęła matka.

Wszystko już było pownoszone. Teraz zaczęli urządzać. Matka obcierała rzeczy szmatą, ubolewając, że wszystko tak zamokło. Była zmordowana i Julka patrzyła ukradkiem, czy się nie zaczną u niej złowrogie sztywności albo kurcze. Rozpraszała nadejście tej rzeczy, hałasując gratami i snując żwawo różne zamiary na przyszłość.

— Pod ścianą ode drogi to nasieje słonecznika. Dobrze, mamó? Ojciec stropił ją, a jeszcze więcej matkę, mówiąc:

— Jakie to tu wyboje. Jakby nie w chałupie, a gdzie w polu. Tu byś mogła co nasiać, bo skopane.

— No to co — rzekła porywcz, włączając obrazem na stołek. — Wznie gliny, rozrobie, nałóże, urównom, ani znaku po tych dołach nie będzie.

A ojciec swoje:

— Ciec to tu musi zdrowo. Dach zgniły.

— Co mo ciec — krzyknęła, zacierając głowę. — Może to wapno nie wyszło? A po drugie — wliżemy z tatom na górę, na polepe i tyż glinom z chrustem pozarobiamy te dziury w dachu i ju.

Po chwili, bijąc niecierpliwie w gwóźdź, zaczęła namawiać ojca:

— Lepiej byśta słomy, tata, przynieśli. Łózka trza popościełać, a nima co w nie wesłać.

Zahaczała obrazy, podawane przez matkę, jeden po drugim, coraz to się oglądając na ojca.

— Jak nie pódziecie, to sama musze iść po te słome.

Wyszli nakoniec oboje. Poblakali się po zmokniętem podwórku, przegnali czyjeś kury i ukloniwszy się ludziom, którzy na nich patrzyli przez okienko sąsiada, ruszyli ku wielkim budynkom folwarku.

Po drodze dogadali się i wzajem pocieszyli.

Wszystko to, zgodzili się, człowiekby zniósł, nawet mieszkanie takie marne, żeby sobie samemu na swoim takie schronisko postawił. Niechby choć na pustyni albo gdzie w Ameryce. Tak, wtedyby i szyby łatanne nie szkodziły.

— Szyby? — zawołała gorąco Julka. Na co szyby? Czembądźby się zasłoniło, żeby aby módz robić i do czego dońść.

Ma się rozumieć, tembardziej dziury w dachu niczy też nie znaczyły.

— Organkiby my jakie kupili do granio i jużby było wesoło — dodała Julka niespodzianie.

Ale jak się przychodzi do ludzi, żeby na nich robić, to się chce mieć dobrze.

Niedaleko dworskiego ogrodu Kaczmarek zatrzymał się.

— Co to tu takiego robiom?

Było to rozkopane miejsce, a koło niego dół z wapnem i rzędy cegieł.

— Coś tu bydom budować. Dali chodźcie, tata. Ustało troche padać, to nom tera słoma nie zamoknie.

Kaczmarek popatrzył na cegły, wziął nawet jedną z nich na chwilę do ręki, poczem zaraz ruszyli dalej.

Gdy powrócili, wesołe złote szelesty zaszeptały po sobie. Słoma legła na łózkach, opięta płachtą, i wnet w domu zrobiło się swojo, wnet się poczuło, że jednak ma się gdzie spocząć.

Nadchodzili ze strachem o matkę, tymczasem zastali ją w uśmiechach, na nic złego jej się nie miało. Przeciwnie. Napaliła przez ten czas ogień, nastawiła coś w garnkach, Poznała się z sąsiadami. Tu przez sień mieszkali tacy, co byli w Rusocinie już dziesięć lat. Nazwiskiem Mikołajczyk. Dali jej octu dla Zuzi i gałązek na ogień. Tylko co ich dzieci tutaj były.

Chcieli nawet wszystkiego nanieść jako na nowym progu.

— To chwała Bogu, cieszył się ojciec — to chwała Bogu! A jak tam Zuzia?

Też jej nieco odeszło. Widać z drogi jej tak było. Józio spał na tobołach — dali mu tedy spokój i siedli, żeby zjeść, gdy wtem przysłano po Kaczmarka, że ma iść do pisarza.

Dosyć długo nie wracał, nakoniec przyszedł jak nie ten sam. Nawet jeść zaraz nie chciał, tak wielkie miał nowiny. Co się tak namartwili o złe mieszkanie, że dostali,

to nic racji nie mieli. Widział samego pana — i ten mu powiedział:

— Mieszkanie — mówi — dostałeś marne, ale tam nikt nie będzie mieszkał.

Buduję tu pod sadem murowanę i tam was przeniosę. Będzieta — mówi — mieli tam jak żaden nimo. — Izbe z komorom — po dwa okna na zawiasach — i z góróm, ze wszystkim jak się patrzy. I w ceglanem domu jak w kamienicy.

Tu ojciec napadł na Julkę — klnąc się Bogiem, że jak szli koło tych cegieł, to go coś tknęło.

— Tyś ani postać nie chciała, a mnie tak jakby co do ziemi przykuło.

Wobec tego siedli raz jeszcze pojeść razem z ojcem łyżki skrzybały o kwiatate dno misy, a on wciąż mówił.

— Ale żeby tak w jednym dniu kogo tknęło i żeby mu się zaraz tego samiuchnego dnia sprawdziło — to niepodobne rzeczy.

Nagle zerwał się z ławy.

— A gdzie kot? — krzyknął strwożony.

Zakrzętnęli się dookoła.

— Chto go z worka wyjmał?

— Może uciek — na nowem miejscu trza na kota uważać.

— Może gdzie włos.

Zuzia, która drzemała przy ciepłej kuchni, zobaczyła go pierwsza i uspokoiła ich z ubolewaniem.

— Ady siedzi kole stągwi, aby mu sie slipia zieleniom.

Matka zaczęła obcierać łyzy na myśl, że kot stanowi ninie cały ich żywy dobytek.

— Kiedy się człowiek czego dochowa? Na te pogrzeby, na te choroby wszystko sie posprzedało. Mówiom dwór, dwór — a i tak chociaż dwór do, to swoje tyż idzie — a i co ta dwór do. Ani mój Boże krowy tero człowiek nimo, ani proszczoka, ani żeby choć kury.

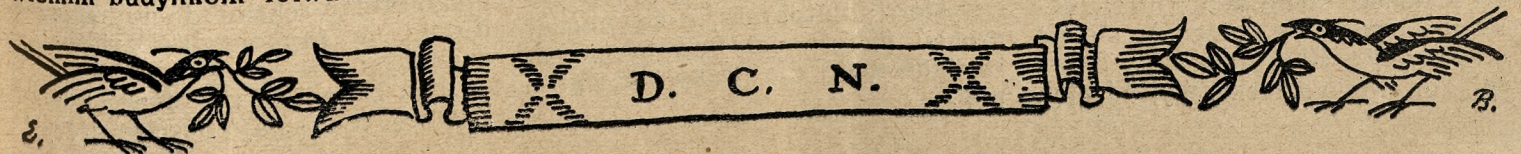
— Jak bydziemy mieli takie mieszkanie? — oburzył się ojciec to się mamy nie dochować?

Mieszkanie zdawało się stanowić o wszystkim. Nacieszyli się niem jeszcze, pomówili nieco i zaczęli się układać do snu.

Słoma była nie połamana, prosta, chrupiąca.

Prawdę rzekłszy, teraz, gdy mieli pewność nowego mieszkania, zdało im się, że może nawetby się bez niego obesli.

Za siebie samych, z tego, że są tu razem, czerpią i zgryzoty, co zaciemniają dzień, i siłę, co im świeci po nocy i pomaga się dźwigać z przerozmaitej kłęski.





JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

## Z POWODU DOLARÓW

3



nany był z tego, że szwindlował wzdłuż i wszerz puszczy aż na północ do zatoki Tonkińskiej. Nie pogardził jednak od czasu do czasu cywilizacją. Gdy pewnego razu ten pełen godności brodaczek oszukiwał i szwindlował w Sajgonie (podając się za buchaltera), spotkał tam Annę Śmieszke.

Im mniej będziemy się zajmować jej historją, tem lepiej; musimy jednak sięgnąć nieco do jej przeszłości. Prawdopodobnie mało już pozostało wesołości w jej sławnym śmiechu, gdy Bamtz po raz pierwszy przemówił do niej w pewnej podejrzanej kawiarni. Osiedła w Sajgonie jak na mieliznie prawie bez pieniędzy, obarczona małym, pięcioletnim chłopcem.

Pamiętam, że przywiózł ją w te strony, zdaje się, z Australji Herry, zwany „Poławiaczem Perel”. Przywiózł ją tu i porzucił; włóczyła się wówczas z miejsca na miejsce; znaliśmy ją wszyscy, przynajmniej z widzenia. Każdy mieszkaniec Archipelagu wiedział o Annie Śmieszce. Śmiała się rzeczywiście na każde zawołanie miłym, srebrzystym śmiechem, lecz nie zapewniło jej to powodzenia. Biedne stworzenie gotowe było przylgnąć do każdego, nawet nawpół tylko porządnego człowieka, jeśliby tylko zechciał, ale jak należało się tego spodziewać, prędzej czy później każdy ją rzucał.

W Sajgonie pozostawił ją kapitan niemieckiego statku, z którym przez przeszło dwa lata podróżowała wzdłuż wybrzeży chińskich aż po Władywostok. Wreszcie Niemiec powiedział jej: „Wszystko się już skończyło, mein Taubchen. Wracam teraz do domu, aby się ożenić z dziewczyną, z którą byłem zaręczony, nim tu przybyłem”. A na to Anna: „Doskonale, pójdę sobie. Ale pozostaniemy przyjaciółmi, nieprawda?”

Dbiała zawsze bardzo o to, aby pomimo zerwania, zachować przyjaźń. Niemiec zapewnił ją, że zostają się przyjaciółmi. W chwili pożegnania był przygnębiony, a ona śmiała się, odpływając do brzegu.

Ale w rzeczywistości nie było jej do śmiechu. Miała jakieś niewyraźne przeczucie, że skończyło się jej powodzenie. Kłopotowała się o przyszły los swego dziecka. Wyjeżdżając

z Niemcem, zostawiła chłopca w Sajgonie pod opieką starego małżeństwa francuskiego. Mąż był woznym w jakimś rządowym biurze, ale dosłużył się już emerytury i mieli oboje wracać do Francji. Musiała więc odebrać od nich chłopca i gdy go już raz miała u siebie, nie chciała się nigdy z nim rozstać.

Tak przedstawiała się sytuacja, gdy poznała wypadkiem Bamtz'a. Nie miała żadnych złudzeń co do niego. Związek jej z Bamtz'em był dowodem wielkiego upadku, nawet materialnego. Anna Śmieszka była, w swoim rodzaju, przyzwrotną osobą, podczas gdy Bamtz'a oględnie mówiąc, można było nazwać w najlepszym razie marną kreaturą. Z drugiej jednak strony ten brodaty szwindlarz, który wyglądał raczej na korsarza niż na buchaltera, nie był brutalny. Był uprzejmy nawet, gdy się trochę napił. Rozpacz i przeciwieństwa losu dziwnie dobierają kochanków: ona nie była już wówczas młodą, więc z rozpaczki zgodziła się na niego.

Trudniej jest może zrozumieć dlaczego Bamtz zawiązał ten stosunek. To jedno trzeba mu przyznać, że trzymał się zawsze zdaleka od miejscowych kobiet. Nie mogąc go posądzić o skrupuły natury moralnej, podejrzewam go o ostrożność; zresztą nie był on już wówczas młody. W jego dostojnej brodzie wiele już było siwych włosów. Może poprostu tęsknił za jakąkolwiek towarzyszką swego marnego, wykołowanego życia. Jakikolwiek były tego przyczyny, zniknęli razem z Sajgonu i nikt, naturalnie, nie zatrośczył się o nich.

W sześć miesięcy potem Davidson przyplął do osady, zwanej Mirrah. Był po raz pierwszy w zatoce, gdzie nigdy jeszcze żaden europejski statek nie dopłynął. Pewien pasażer z Jawy ofiarował mu pięćdziesiąt dolarów za dowiezienie go do tej osady (zapewne miał tam ważny interes), i Davidson obiecał ze spokojem dojechać. Nie skusiły go dolary, jak sam mówił, lecz był ciekaw poznać tę miejscowość, a jego mały stateczek mógł dopłynąć wszędzie, gdzie dopłynąłby głęboki talerz.

Davidson wysadził na brzeg jawajskiego plutokratę, a że musiał czekać parę godzin na przyływ, wysiadł sam dla rozprostowania nóg.

Była to niewielka osada; składała się może z sześćdziesięciu domów, wybudowanych głównie na palach, wbitych w rzekę; reszta domów była rozrzucona wśród gęstwy wysokich traw. Z tyłu domów, jak zwykle, ciągnęła się dróżka. Puszcza, otaczająca polanę, wchłaniała każdy świeży powiew, pozostawiając martwą, gorącą atmosferę.

Cała ludność wyległa na brzeg rzeki i zwyczajem Malajczyków, przepatrywała się w milczeniu „Sissie”, stojącej na kotwicy; ukazanie się anioła nie byłoby dla nich bardziej cudownym zjawiskiem. Starsi mieli tylko mgliste pojęcie o parowcach, a rzadko który z pośród młodych widział prawdziwy parowiec. Na dróżce, na tyłach wioski, Davidson przechadzał się w zupełnej samotności. Doleciał go jednak jakiś nieprzyjemny zapach; postanowił więc nie posuwać się dalej.

Stał, obcierając sobie czoło; wtem doszło go wołanie: „Mój Boże! to przecież Davy!”

Davidson, jak sam się wyrażał, otworzył usta ze zdziwienia, usłyszawszy ten podniecony głos. Towarzysze w jego młodości zwali go Davy; od lat nie słyszał tego imienia. Rozejrzył się wokoło z otwartymi ustami i ujrzał białą kobietę, ukazującą się w wysokich trawach, które skrywały maleńką chatkę prawie do samego dachu.

Wyobraził sobie, jakie na nim zrobiło wrażenie, gdy w tym zapadłym kącie, który nie jest zaznaczony na żadnej mapie, w najbrudniejszej z pośród najędźniejszych wioszek malajskich, ukazała mu się nagle w trawach Europejka w niesłychanej szacie z brudnego różowego atlasu z długim trenem, przyozdobionej zniszczonymi koronkami; oczy jej płonęły jak dwa czarne węgle w twarzy kredowo bladej. Davidson myślał, że mu się śni, lub że majaczy. Z woniejącej kałuży (skąd pochodził ów zapach, który chwilę przedtem doleciał Davidson'a) dwa niechlujne bawoły powstały z głośnym sapaniem i ciężkim krokiem, łamąc krzewy, w panice uciekały przed tem zjawiskiem.

Kobieta biegła ku niemu z wyciągniętymi rękami i położywszy dłonie na ramionach Davidson'a, zawołała:

„Nie zmieniłeś się prawie wcale. Zawsze ten sam, poczciwy Davy!”



I wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał trochę dziko.

Dźwięk ten podziałał na niego, jak prąd elektryczny na trupa. Muskły jego drgnęły: „Anna Śmieszka“, wyrzekł ze zdumieniem.

„Oto wszystko, co z niej pozostało, Davy, oto wszystko!“

Davidson spojrział w górę, ale nie dojrzał tam unoszącego się balonu, z któregooby Anna mogła była spaść do tej wioski. Gdy spuścił wzrok na ziemię, ujrzał dziecko, które swoją małą ciemną łapką trzymało się jej różowej atlasowej sukni; wybiegło za nią z pośród traw. Gdyby Davidson ujrzał Krasnoludka, nie otworzyłby szerzej oczu, niż na widok tego małego chłopaczka w brudnej białej bluzie i podartych spodniach. Miał głowę pokrytą kaszanowatymi lokami, bardzo opalone nogi, piegowaną twarz i wesołe oczy. Matka na-

pomniała go, aby się przywitał, powiedział więc po francusku: „Bonjour“, czem ujął ostatecznie Davidson'a.

Davidson spojrział w milczeniu na Annę. Odesłała dziecko do chaty i gdy zniknął wśród traw, zwróciła się do Davidson'a, chciała mu coś powiedzieć, ale zdoławszy wy mówić zaledwie: „Oto jest mój Tony“, wybuchnęła długim płaczem. Oparła się o ramię Davidson'a, a on, przejęty do głębi swego dobrego serca, stał bez ruchu w tem samym miejscu, gdzie się spotkali.

Jakie dziwne spotkanie! Bamtz wysłał ją, aby zoba czyła co



to za biały wylądował. Znała Davidson'a z owych czasów, gdy jeszcze jako młody człowiek polował perły, będąc współnikiem Harry'ego Poławicza i najspokojniejszym członkiem tej awanturycznej bandy.

Zanim Davidson skierował swe kroki z powrotem na pokład statku, dowiedział się wielu szczegółów z historii Anny Śmieszki i miał nawet na tej ścieżce długą rozmowę z samym Bamtz'em. Pobiegła do niego do chaty i przyprowadziła go, ociągającego się, z rękami w kieszeniach, starającego się ukryć pod pozorami obojętności swą skłonność do płaskiej pokory Ta..a.a.k.. Prawdopodobnie osiadzie tu na stałe — z nią. Wymówił te słowa, wskazując na Annę Śmieszkę, która robiła tragiczne wrażenie z dzikim wzrokiem i rozwianymi czarnymi włosami. (c. d. n)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

22

## ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

### XXVI.

Widocznie tak było sądzone.

Staralam się uniknąć tego spotkania, które dziś może byłoby przykre dla niego, bolesne dla mnie. Zaniechałam swoich wędrówek do lasu, zamknęłam się w domu, licząc dni. W miasteczku rozszła się pogłoska, że „dziedzic“ przyjechał, aby rozparcelować czy nawet sprzedać Klimontowce. Szwargotały o tem żydy na rynku, napomykał coś burmistrz, mocno podniecony, ponieważ jego grunta od strony łąki wchodzą klinowato w posiadłość pana Rymszy.

— Jeśli chce sprzedawać, musimy się najpierw ugodzić — zauważył burmistrz — Zapożyczę się, a ten kawałek łąki kupić muszę, inaczejby mi chamskie bydło w szkodę লাżyło.

To mówiąc, zafrasowany dygnitarz podrapał się w głowę.

Ach, mniejsza z tem, sprzeda czy nie sprzeda... Było mi wszystko jedno. Liczyłam tylko dni. Powiedziano mi, że przyjechał sam, bez żony, a więc — na krótko. Mówiłam sobie: Byle się nie dowiedział. Ale skądże? Ci, z którymi omawia sprawę ewentualnej parcelacji, nie powiadomią go, że tutaj, w tem samym miasteczku, jest

nauczycielką w szkole powszechnej niejaka Krystyna Darowska, osoba w średnim wieku, ciesząca się opinią odludka.

A jednak — widocznie było sądzone.

Spotkaliśmy się na samym środku rynku w skwarne popołudnie. Wysłałam z domu kwadrans przed czwartą, aby odebrać na pocztę gazety. Listy, adresowane do mnie są oddawna rzadkością. Zgarnęłam moje pisma, zamieniłam kilka słów z kierownikiem poczty o pogodzie i ruszyłam z powrotem do domu.

Trzeba szczególniejszego trafu, by właśnie w tej samej chwili, tak, właśnie w tej samej chwili, wtoczyła się na rynek rozklekotana bryczka. Znajdowałam się na samym środku dużego placu, porośniętego żółkłą od spiekoty trawą Uciekać? — śmiesznie. Wtuliłam głowę w ramiona i szłam, przypatrując się końcom własnych pantofli. Turkot scichł nagle. Do brze mi znany głos zawołał:

— Krysia!

Zanim podniosła głowę, Zbigniew Rymsza był przy mnie. Oczy nasze spotkały się i witały radośnie, zanim padły następne słowa, pytania, wykrzykniki, wydarte ze ściśniętego wzruszeniem gardła:

— Ty?.. Tutaj?... Krysiu, naprawdę, to ty!... Nigdybym nie uwierzył... Co za spotkanie! Krysiu! Krysiu!..

Ach, mój Boże! Czułam, jak jestem śmieszna w tej chwili, z purpurowym rumieńcem pensjonarki, schwytej na gorącym uczynku, z tem nieopanowanym drżeniem rąk, niezdolna wybąknąć bodaj kilku słów powitania!

A tymczasem on trzymał ciągle moje dłonie w mocnym uścisku i nie myślał ich puścić. Nie myślał też pożegnać mnie i odejść. Stałiśmy tak, w słońcu oniemiałi, zdumieni oboje, szczęśliwi i nieszczęśliwi zarazem. Wreszcie Zbigniew odezwał się znów pierwszy.

— Od jak dawna tu jesteś?.. Nie miałem najmniejszego pojęcia, doprawdy... Przyjechałem kilka dni temu... Krysiu, jak mogłaś! Jak mogłaś mnie nie zawiadomić!

Znów umilkł, popatrzył na mnie, zawołał:

— I pomyśleć, że byłem tu, w miasteczku, już kilka razy! Mogłem cię przecież nie spotkać... Wyjechałbym, nie zobaczywszy się z tobą! Niedobra jesteś, niedobra!

Konie zaczęły się niepokoić, muchy dokuczały im. Furman odezwał się z kozła:



— Proszę, jasnie pana? To może zajechać w cień?

— Zaczekaj... — odparł Zbigniew zniecierpliwionym nagle głosem — Dobrze, jedź sobie... Albo nie! Krysiu — zwrócił się do mnie — Siadaj na bryczkę razem ze mną. Musimy przecież porozmawiać, muszę się dowiedzieć... Tyle, tyle rzeczy mamy sobie do powiedzenia! Chcesz, pojedziemy do Klimontowic, te raz, zaraz. Odwiozę cię wieczorem, jak się trochę ochłodzi...

— Doprawdy... Doprawdy chyba nie mogę. Muszę wrócić do domu. Zostawiłam pokój niezamknięty... Mieszkam tu, niedaleko, u burmistrza. Jestem nauczycielką w szkole powszechnej.

— Oddawna?

— Od jesieni. Dobiega właśnie rok.

— Tak... tak... — popatrzył znowu na mnie — Ale słuchaj, opowiesz mi wszystko później. Teraz pojedziesz ze mną. Albo jeżeli wolisz, zajdziemy do twojego mieszkania, czy mię zapraszasz?

— Ależ tak, naturalnie...

— Zajeżdżaj do Szlomki! — huknął na furmana. — Czekaj tam na mnie!

Ruszyliśmy. Przez całą drogę, niedaleką zresztą, zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Przed samym domem przystanął, znów ujął moje ręce:

— Krysia! — rzekł — Krysia... I pomyśleć, że to naprawdę ty jesteś... Ty, tutaj!

Tyle radości brzmiało w jego głosie! Otworzyłam prędko drzwi, jedne i drugie.

— To mój pokoik. Widzisz, tu sobie mieszkam...

Rozejrzał się po pokoju. Śledziłam jego wzrok i uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy istotnie zauważyłam, że moje mieszkanie jest bardzo ładne. Tyle słońca... Kwiatki na oknie... Kwiatki, które przynosi mi Teoś... Białe firaneczki z batystu przesiewają łagodne światło. Jak wesoło tańczy na ścianie siedmiobarwna kulka: minjaturowe słońeczko, odbite w dzbanku z wodą. Nad krótkim tapczanem, który mi służy w nocy za łóżko, a w dzień za kanapę, pasiaty kilim mieni się całą gamą czerwonych, rudych i fioletowych odcieni. Na stole książki i kwiaty. Na półce książki i kwiaty. Jak dużo kwiatów! Nigdybym nie myślała, że ich mam tyle w pokoju. A na komódce stoi zegar.

— Jak tu ładnie... — odezwał się Zbigniew po chwili — Miło, zacisz-

nie. Zresztą, nie dziwię się... Więc ty tu mieszkasz?

— Ależ tak, tak! Od jesieni tu mieszkam, tutaj pracuję, czytam, piszę, poprawiam zeszyty moich uczniów...

— Więc ciągle jesteś nauczycielką. Wiesz, sądziłem, że jednak rzucisz tę pracę. To chyba nie na twoje siły. Nieraz, myśląc o tobie, usiłowałem zgadywać: co robisz teraz, gdzie się podziewasz, wśród jakich ludzi?...

— Wśród samych swoich — i wskazałam przez okno wąski przesmyk pomiędzy domami. Widniało tam pole, a za niem, w oddali, mała grupka drzew z Klimontowskiego cmentarza.

Milczeliśmy przez chwilę oboje. Wreszcie Zbigniew pierwszy zagadnął:

— A teraz... Powiedz mi: opowiadaj wszystko, po kolei, od dnia...

Urwał. Wiedziłam, od jakiego to dnia chciał usłyszeć powieść mojego życia. Przerwałam krótko: — Cóż Ela? Zdrowa? Co u was słychać? Ja także nie wiedziałam nic, prócz tego, że żyjecie...

Blask jego oczu przygasł nagle. Na czole zarysowała się głęboka bruzda. Odparł niskim, gardlanym głosem:

— Dziękuję ci. Ela względnie zdrowa, jak na siebie, naturalnie. Zupełnie zdrowa nie będzie zapewne już nigdy. Przynajmniej doktorzy nie obiecują tego. Ale przecież ty nic nie możesz wiedzieć. Ile to już lat? Zaraz...

— Dwanaście — rzekłam spokojnie.

Popatrzył na mnie

— A tak... To już dwanaście lat. Jak ten czas leci! Wydawało mi się zawsze, że lezie żółwim krokiem, a jednak — przeszło dwanaście lat...

— Więc proszę, powiedz mi... Więc Ela?

— Słuchaj, Krysiu, opowiem ci wszystko, powoli. Ale nie dziś, nie teraz, dobrze? I ty mi opowiesz swoją historję, później... A teraz pozwól mi posiedzieć tutaj, w milczeniu. W tej chwili ty także musisz czuć wyraźnie ciężar tych lat. Dwunastu lat. Spotkaliśmy się tak nagle, tak niespodzianie. W tej chwili lepiej milczeć, bo jak tu zmieścić całe, długie życie w jednej rozmowie, prawda?

— Masz słuszność.

— Teraz, przyznam się, wolę patrzeć na ciebie. Przecież to ty,

Krysiu! To ty! Nie mogę jeszcze uwierzyć własnym oczom...

— Nic dziwnego — odparłam, siłując się na uśmiech — Tyle czasu przeszło. Zmieniłam się...

— Nieprawda. Nie zmieniłaś się. A jeżeli chcesz mi znowu przypomnieć, ile od daty naszego ostatniego widzenia minęło dni, miesięcy, lat — pamiętaj, że ja je również przeżyłem wszystkie, Krysiu. Wszystkie.

## XXVII.

Musiałam obiecać, że nazajutrz przyjadę do Klimontowic.

— Tak, około piątej przyszlę konie. Przykro mi, że cię nie mogę zaprosić na obiad, ale stara Wątkowa nie posiada zdolności kulinarnych. Od przyjazdu jadam kartoflanę i krupnik — krupnik i kartoflanę. Co za szczęście, że nie przywozłem Eli, która nie znosi wogóle zup, a tych dwóch w szczególności. A więc — postanowione, prawda? Konie będą o piątej. Pamiętaj! — zawołał Zbigniew, siadając na bryczkę.

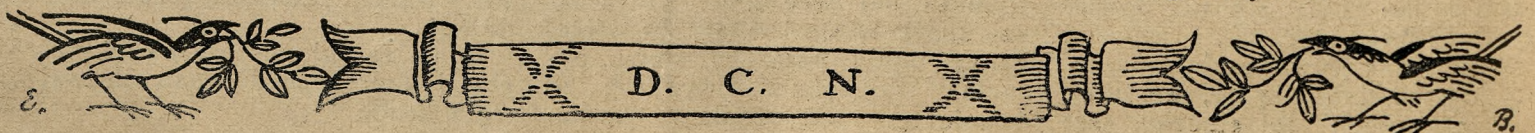
Zostałam sama. Zdawałoby się, że dwadzieścia cztery godziny, to dosyć czasu, aby uporządkować wrażenia i powziąć jakiś plan. A jednak, gdy usłyszałam turkot przed domem, nie byłam jeszcze zdecydowana. Jechać? Nie jechać? Może wymówić się jakimś ważnym zajęciem, posłać przez stangreta karteczkę... Ale znowu — dlaczego? Czy istotnie, po tylu latach, nie czuję się na siłach patrzeć na kochanego człowieka, rozmawiać z nim o sprawach bieżących? Za dwa, trzy dni wyjedzie przecież i wszystko się skończy. Zresztą — skończyło się już dawno. Że oboje czuliśmy się wzruszeni.. Boże mój, czy mogło być inaczej? Przecież kiedyś, dawno, byliśmy sobie tak bliscy... Zbyt wiele łączy nas wspomnień, aby teraz, po latach, móc obojętnie patrzeć na siebie jak dwaj przechodnie, którzy się nigdy nie znali.

Turkot scichł — widocznie bryczka stanęła przed domem. Mimo woli zerwałam się z miejsca. Książka, którą bezmyślnie czytałam od rana, spadła na ziemię. Pojechać? Nie pojechać?

Stuknęły drzwi wejściowe. W sieni rozległ się głos burmistrza:

— Panie dziedzicu, jedno słóweczko: ja względem tej łąki...

— Później, później. Interesantów przyjmuję rano, u siebie. Niech pan się zgłosi jutro!





KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

## PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

15

## VI

## W ŁUNACH POŻARÓW

Z początkiem kwietnia 1798 roku cała Irlandja została poddana pod prawa wojenne.

Ekspedycje karne przebiegały kraj, wieszając, paląc, wymuszając męką zeznania o ukrytej broni.

Znikła gdzieś, rozplynęła się w mgłach, szlachetna, wolnomyślna Anglja Foxów i Chathamów; z pomroku dziejów wylaniała się straszliwa twarz kromwelowskiego żołdaka z pod Droghedy, mordercy kobiet i dzieci. A w dzikich górskich ostępach zmartwychwstawał mścivy White-boy, biały chłopiec, który w ciemną noc szedł palić gumna, niszczyć plony na polach landlorda — Anglika.

Niesamowity lęk ogarniał władze, a raporty policyjne brzmiały, jak fantastyczne bajki: tam a tam był las, pewnej nocy wycięto go na piki, tę legendarną broń chłopskiego powstania. Tak samo znikł gdzieś most. Rynny z budynków rządowych kradziono, by okuć ową broń. Insurgenci — głosiła wieść — zabijają bydło na polach, mięso solą, pakują w beczki, zagrzebują na prowiant dla swoich... Chcą opanować okręty w porcie i stworzyć na nich „pływającą Republikę...”

Cóż, że w miastach najęty szpieg donosił o każdym kroku „patriotów?” W jarach górskich, w mgłę osnutych torfowiskach, niedostępnych nodze obcego człowieka, czaiła się nieuchwytna a groźna, rebelja.\*)

Rząd uznał, że czas już nadszedł, aby wykurzyć ją „jak lisa z jamy” pożoga.

Płonęły sioła.

Gdy zacny lord Moira wniósł w parlamencie angielskim interpełację z powodu okrucieństw, jakich dopuszcza się wojsko w Irlandji, odparto: „Gdyby to było prawdą, jużby dawno cały kraj powstał!”

Nie powstał, bo czekał — z zaciśniętymi zębami — hasła.

Fitz Gerald wyteżał wszystkie siły, z jednej strony salwując czystość ruchu powstańczego od tego, co byśmy dziś bolszewizmem nazwali i powstrzymując żywiołowy zwały i przedwczesny wybuch, z drugiej strony musiał sam jeden wszystko

reorganizować, mianować nowych dyrektorów, nowych dowódców na miejsce uwięzionych.

To też rząd, wiedząc, że jeden człowiek jest duszą całej akcji, nie szczędził usiłowań, aby „desperackiego dowódcę” dostać w ręce i naznaczyć wysoką cenę na jego głowę.

Lord Edward jednak, dzięki bezgranicznej miłości, jaką lud go otaczał, uniknął szczęśliwie pościgu i, jakby przez umyślną brawurę, przybył do Dublinia właśnie w ten dzień, gdy na murach rozlepiano afisze, obiecujące 5000 funtów szterlingów temu, kto wyda kryjówkę banity.

Czynił z gorączkowym pośpiechem przygotowania do insurekcji, ale myślą krążył jak gołąb koło gniazda, wokół domu, który dotąd jeszcze chronił najdroższe mu istoty.

Edward chciał sam dopilnować wyjazdu Pameli z dziećmi, aby spokojny mieć umysł, krew zimną w chwili, gdy na ulicach miasta zaczniesz lać krew i błysną łuny pożarów.

\*) Gazeta korespondenta warszawskiego i zagranicznego ogłasza następny rozkaz, ogłoszony przez generała komenderującego w Dublinie:

„Z powodu rozchodzących się wieści, iż rozpacz uniesieni wywołańcy, ludzie z pod opieki prawa wyjęci, starają się mieszać spokojność tego kraju i wciągać lud do insurekcji, uwiadamy niniejszym pismem, iż okropna zemsta dokonana będzie, tak na osobach, jak na własnościach tych wszystkich, którzy zostaną przekonani o współnictwie tak srogich postępów. Spokojność publiczna wymaga surowości przeciwko buntownikom, przeto wzywamy, ażeby lud zważał zawczasu w jaką się ma przepaść nędzy pograć. Nie może już być wzajemnej ufności między ziednoczonymi Irlandczykami, odtąd, iak się między nich wcisnęł pod postacią przyjaciół, ludzie, którzy znając ich wszystkie zamiary, sami być odkrytymi nie mogą. Nie będzie już słuchany głos ludzkości, do którego winowacy odwoływać się zechcą względem strapionej familii. Zbrodnia uważana będzie za tym większą, iż za sobą pociągnie upadek niewinnych. Niech więc ta przestroga nie zostanie bez skutku! Ci, którzy nią wzgardzą, zostaną w odpowiedzi za to wszystko, co z tą wyniknie.”

Termin insurekcji naznaczony był na noc z 23 na 24 maja. Wybuch miał nastąpić równocześnie w Dublinie i na prowincji. Francuskiej pomocy spodziewano się niebawem.

Pamela czekała już tylko na ostateczne zlecenia męża. Raz, wraz zabiegał do niej pod osłoną nocy, by jeszcze raz ją uściskać, jeszcze ucałować główki dzieci. Dzień spędzał nad planami, ukryty w izdebce pod strychem, w domu zaufanych przyjaciół, tym samym, gdzie miesiąc niespełna temu, odwiedził go pan Ogilvie...

18 maja, stolarz, pracujący nad układaniem podłogi w zamku dublińskim, usłyszał przypadkiem, że do mieszkania Mooreów wybiera się policja w poszukiwaniu „pik i zdrajców.”

Pobiegł ostrzec gospodarza. Miss Moore uprowadziła gościa do mieszkania sąsiada — patrioty: Murphy'ego, handlarza pierzem. Ale policja była już na tropie i o zmierzchu otoczyła dom. Na czele silnego oddziału żołnierzy i kinstabłów szedł major SIRR, dziki i zajadły „prześladowca patriotów.” Szedł na pewniaka. Uderzywszy gospodarza kolbą w twarz, kazał go związać. Podczas, gdy żołnierze przetrząsali dół, sędzia pokoju Swan, wraz z dwoma oficerami policji, wpadli do izdebki na piętrze, gdzie lord Edward, zaziębiony i bardzo znudzony, spał, rzuciwszy się w ubraniu na łóżko Swan strzelił do niego z pistoletu, lecz chybił. Śpiący porwał się i chwyciwszy leżący pod ręką krótki puginał, natarł na Swana z takim impetem, że ten padł na ziemię, zalany krwią. Drugiemu napastnikowi, kapitanowi Ryan zadał cios śmiertelny i o mało co, byłby odrzuciwszy trzeciego wroga, dopadł drzewiczek tajnych i ocalił się, gdy wtem nadbiegły z dołu major SIRR strzelił do niego à bout portant i strzaskał mu prawe ramię.

Wtedy Fitz Gerald przerzucił sztylet w rękę lewą i zdoławszy wybiec na schodki, wiodące na strych, bronił się rozpaczliwie. Nie chciał dać się żywcem wiaść. Potrzeba było wezwać z dołu cały oddział żołnierzy, aby desperata obezwładnić. Trafiony drugim strzałem w biodro, padł na ziemię.



ale jeszcze nie dawał do siebie przystąpić, aż go ktoś, s żoldak uderzył szabłą w tył głowy i ogłuszył.

Związanego, oblanego krwią, poniesiono na zamek w triumfie, jak drogo okupiony łup.

Tam, w rezydencji wicekróla, opatrzone mu rany, z których uchodziła krew. Pierwsza myśl, gdy przyszedł do siebie, była dla żony. Poprosił, aby mu pozwolono poddyktować parę słów do niej, by uspokoić ją. Wicekról zgodził się na to, ale równocześnie wydał surowy nakaz niedopuszczenia do więzienia żywej duszy, prócz dozorców i i fortelnego chirurga. Zamknęły się za pojmanym ciężkie wrota ponurego więzienia stanu Newgate, skąd, według tradycji, wychodziło się tylko na rusztowanie.

\* \* \* (c. d. n.)

## ODZNACZENIE TRZECH DZIAŁACZEK

W Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej odbyło się uroczyste udekorowanie krzyżem oficerskim Odrodzenia Polski Matki Wielebnej, Róży Czackiej, Siostry Matyldy Getter i p. Cecylji Walewskiej.

W obecności podsekretarza stanu, p. J. Jankowskiego, i przedstawicieli Departamentu Opieki Społecznej oraz Wydziału Opieki Społecznej przy Komisarjacie Rządu wręczył pan Minister Sokal ordery z odnośnym przemówieniem do każdej z trzech udekorowanych poszczególnie. Podniósł przedewszystkiem niespożyte zasługi Matki Czackiej, założycielki T-wa Opieki nad ociemniałymi, która sama niewidoma, niesie pomoc setkom kalek jak ona, stworzywszy dla nich warsztaty pracy, dając im naukę, dźwigając ich moralnie i materialnie.

(Działalność Matki Czackiej zobrazowana została szczegółowo w jednym z majowych numerów „Bluszczu“ r. b)

Siostrze Getter złożył pan minister pokłon jako niezmordowanej opiekunce tysięcy sierot, kierownicze Ogniska Rodziny Marji, które dziś ma już rozgałęzienie w całej Polsce, zakłada bursy, seminarja dla nauczycielek ludowych, przytułki, schroniska, kolonje letnie, posyła wychowanki swoje do szkół powszechnych i zawodowych.

(Szczegółowe Sprawozdanie z celów i zadań Ogniska poda „Bluszczy“ Czytelnikom swoim niebawem).

Z kolei pan minister zwrócił się do p. Cecylji Walewskiej, zazna-

czywszy odrębny rodzaj jej pracy w stosunku do działalności sióstr zakonnych. Podkreślił przedewszystkiem, że nie stoi za nią żadna organizacja, że sama przebojem w ciągu lat 20 prowadziła szkołę dla pracownic i prowadzi dotąd T-wo zawodowego kształcenia kobiet. Podniósł działalność p. W. jako publicystki i powieściopisarki, piórem szerzącej ideały podejmowanych czynów społecznych. Zaznaczył także zasługi jej, jako b. referentki Min. Pracy i Op. Społ., w którym to charakterze przeprowadziła i opracowała wielką ankietę w sprawie służby domowej, współdziałała przy tworzeniu pierwszych projektów ustawy dla tejże służby i t. p.

Siostry zakonne i pani W. podziękowały panu ministrowi, a w jego osobie i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej gorąco za tak dostojne odznaczenie; siostra Getter zaś—jak niegdyś wielki kwestarz ks. Boduen—nie ominęła sposobności, aby wyciągnąć rękę odar dla swoich sierot.

— Te ordery to dla nas. Ale co dla naszej biedy?

I ze zwykłą sobie swadą, dzięki której otwierają się przed nią zakłete skarby Sezamów, oznaczyła sumę, jaką pragnęłaby otrzymać z racji udekorowania na potrzeby Ogniska, a także dla cichej, jakby zaleknionej wszystkiem, co się działo, zaskoczonych tą nagłą zjawą życia realnego Matki Czackiej.

— Po 10 tysięcy złotych—ale—pod warunkiem, aby nie strącono nam tego ze zwykłej zapomogi państwowej.

Dostanie ją napewno ta niesłychanie bujna, niestrudzona, pełna żaru, serca i gorliwości jałmużnica.

Równocześnie z trzema wyżej wymienionymi osobami został udekorowany b. naczelnik Wydz. XVII Magistratu m. st. Warszawy, obecnie jeden z naczelnych przedstawicieli Kasy Chorych, p. Kazimierz Koralewski, który zakończył akt uroczysty dłuższem przemówieniem.

S. A. M.



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



### MEŻOWIE NIE CHCĄ ODPOWIEDAĆ ZA WINY ŻON.

Nowy „bill“ czyli projekt ustawy, przedłożony angielskiej Izbie Lordów przez kanclerza, ma na celu usunięcie dotychczasowej anomalji prawnej, mocą której małżonek odpowiadał sądownie za przestępstwa, popełnione przez jego żonę, płacił za nią kary pieniężne, a nawet odsiadywał więzienie.

Poczucie odpowiedzialności męża za winy żony jest tak głęboko zakorzenione w umyśle angielskim, iż niedawno kilku wychodźców z Anglii, osiedlonych w Stanach Zjednoczonych, zgłosiło się do amerykańskiego sędziego z propozycją odsiadywania kilkomiesięcznej kary więzienia, na którą zostały skazane ich żony. Sędzia napróżno usiłował im wytłumaczyć, że każdy mieszkaniec Stanów Zjednoczonych odpowiada osobiście za swe czyny i że sąd na „zastępstwo“ zgodzić się nie może. Wreszcie, zniecierpliwiony, zażył pocziwych fermorów, dlaczego wolą sami siedzieć w więzieniu, zamiast tych, które rzeczywiście na tę karę zasłużyły? Na to jeden z małżonków, drapiąc się w głowę, zauważył z zakłopotaniem: „Widzi pan sędzia—baba to zawsze w domu potrzebna, a bez mężczyzny to się tam jakoś obejdzie“..

Innego jednak zdania są lordowie angielscy, gdyż postanowili znieść wiekowy przeżytek prawny i uwolnić męża od odpowiedzialności za postępkę żony, a tem samem i od odsiadywania za nią więzienia.

Pisma kobiece angielskie, omawiając tę reformę kodeksu, zwracają jednocześnie uwagę, że może ona kryć w sobie pewne niebezpieczeństwa. Żona w większości wypadków—nie posiada bowiem osobistych środków utrzymania! poświęcając cały swój czas zajęciom domowym, nie zarobkuje i nie ma żadnych osobistych dochodów. Wobec więc nowej ustawy, czyniącej ją odpowiedzialną materialnie za przestępstwa, mogące nieraz wynikać nawet nie z jej winy (np. nie-szczęśliwe wypadki), może się znaleźć w położeniu bardzo trudnem, jeśli mąż odmówi wypłacenia zasądzonej sumy.



Koniecznym uzupełnieniem nowej ustawy byłaby zatem rewizja prawa małżeńskiego o przyznanie żonie praw do części majątku jej męża.

### ZANIK OGNISK DOMOWYCH.

Były minister francuski, pan Louis Marin, wygłosił niedawno na ten temat w paryskim Muzeum Społecznym konferencję, która zgromadziła bardzo liczne audytorjum niewieście. Wbrev jednak temu, coby przypuszczać należało, prelegent nie ciskał gromów na upadek moralności i rozluźnienie węzła rodzinnego, przeciwnie—mówił o zaniku „tradycji ogniska” z żywym zadowoleniem, które się udzielało wszystkim jego słuchaczkom.

Czemu przypisać to zjawisko? Czy było ono objawem głębokiego zepsucia, „zboleszewizowania” sfer społecznych we Francji? Bynajmniej: chodziło tu prosto o „ognisko domowe” w jego znaczeniu dosłownem, nie zaś—jak się to zwykle rozumie—w sensie poetyckiej przenośni. Prelegent mówił o ogniskach—niezbędnem niegdyś i najważniejszym akcesorjum chaty wiejskiej—o ogniskach, których wesoły płomień pociąga ku sobie oczy i ogrzewa zziębnięte członki, zbierając przy swym blasku całą rodzinę po skończonym mozole dnia roboczego. Ogniska te, rozsiane dotąd po całym obszarze Francji, od nizin Normandji po skały Sabaudji, zaczynają dziś—na szczęście zanikać, ustępując miejsca o wiele mniej poetycznym piecom kuchennym.

Mówiąc: na szczęście, mam na myśli rzesze wieśniaczek, które przy ognisku tem traciły siły i zdrowie. W rzeczy samej, każda prawie bez wyjątku kobieta wiejska we Francji, pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, była już starą babcją, „une aïeule”, zgarbioną i zgiętą we dwoje. Płacy jej, pochylone nad ogniskiem wielkiego komina, przy którym warzyła dla całej swej rodziny strawę przez wiele lat, nie dawały się już w końcu wcale wyprostować.

Tymczasem w t. z v. „provincjach odzyskanych”—Alzacji, Lotaryngji i ziemiach, położonych nad Mozelą—owe tradycyjne ogniska zastąpione zostały już od lat kilkadziesiąt zwykłymi piecami kuchennymi. I oto babcie alzackie mają wygląd zgoła inny, niż ich siostry bretońskie lub prowansalskie: trzymają się prosto jak świece.

W pełnem zrozumieniu doniosłości tej reformy, prelegent mówił o konieczności propagandy wśród ludności wiejskiej we Francji za zniesieniem szkodliwego dla zdro-

wia przeżytku. Członkinie Stowarzyszenia Gospodarczego (Organisation Ménagère) jako organizatorki tej konferencji, przedstawiły zebrany rezultat swej pracy w tym kierunku.

Minister zakończył swą interesującą konferencję życzeniem, aby w epoce, w której kobieta wyzwala się ze wszystkich więzów, jakie ją krępowały w przeszłości, postać tej biednej „westalki domowego ogniska”, niewolnicy i ofiary swych obowiązków—przeszła czempredzej do historii.

### JAK ŻYJĄ AMERYKAŃSKIE MILJARDERKI?

Pewna Amerykanka, która pełniła przez kilkanaście lat obowiązki sekretarki w domach kilku miljarerek amerykańskich, drukuje teraz w jednym z najpoczytniejszych pism angielskich swoje wspomnienia. Opisuje ona barwnie i z wielką dokładnością życie tych magnatek, którym może niejedna kobieta zazdrości w duchu—jakże niesłusznie!

Życie takiej miljarderki—to nieprzerwane pasmo obowiązków, poważnie nudnych i męczących, swoboda, prostota, zabawa w kółku najbliższych—wszystko to, co stanowi prawdziwy urok życia, jest dla niej niedoścignionem marzeniem. Obowiązki społeczne i towarzyskie zajmują jej od dziesięciu do czternastu godzin na dobę, a resztę czasu—oczywiście—zaledwie wystarcza na zabiegi toaletowe i niezbędny po tak męczącej „pracy” wypoczynek!

Na luksus życia rodzinnego magnatka amerykańska nie może sobie pozwolić. Zaledwie przelotnych chwil parę widuje się z dziećmi, które zresztą najczęściej bywają wychowywane poza domem, w jednym ze zbytkownych zakładów wychowawczych.



Nie można sobie wyobrazić miljarderki amerykańskiej bez nieodłącznej sekretarki, której obowiązki są rozliczne i dość uciążliwe.

Czyta ona najprzód każdego rana swej pracodawczyni pisma codzienne, z których ta dowiaduje się nie tylko najświeższych nowin politycznych, lecz przedewszystkiem tego, co ją najbliższej obchodzi—wypadków z życia towarzyskiego owych „dwóch tysięcy” rodzin magnackich, które stanowią plutokrację Stanów Zjednoczonych. Dąty i godziny ślubów, pogrzebów i t. p. uroczystości są jednocześnie wciągane przez sekretarkę do księgi, stanowiącej rodzaj stałego „rozkładu dnia”, umożliwiającej skoordynowanie różnorodnych zajęć i obowiązków. Potem przychodzi kolej na załatwianie korespondencji. Miljarderka nigdy nie pisuje sama, chyba do najbliższej rodziny i przyjaciół. Na wszystkie listy jej odpisuje sekretarka. Ona również jest obowiązana prowadzić dziennik, w którym notowane są zaproszenia na różne zebrania, zabawy etc. wraz z listą osób zaproszonych. Wszystkie te zajęcia wymagają dużej dokładności, uwagi i doskonałej pamięci; do obowiązków bowiem sekretarki należy także czuwanie nad ścisłym przestrzeganiem zgóry ułożonego planu dnia i przypominanie swej pracodawczyni o rozlicznych jej zajęciach.

O 3 cieć punktualnie—wizyta u krawca: przymierzanie kilku nowych toalet. Czwarta minut dziesięć: wizyta u modniarki. Piąta piętnaście: „five o'clock tea” u pani X. Można tam zabawić tylko minut dwadzieścia, gdyż o wpół do szóstej rozpoczyna się „meeting” polityczny, na który pójść należy koniecznie, ze względu na przyszłą kardynaturę męża na stanowisko prezydenta lub senatora. Potem teatr, kolacja z państwem J, bal na cel dobroczynny u pańswa Z., drugi bal ze słynną śpiewaczką, świeżo przybyłą z Europy, i t. d., i t. d. aż do rana—a kiedy wreszcie, znużona tem wszystkim, zamknie za sobą drzwi sypialni, sen ulata z jej powiek wobec nawału trosk i kłopotów: czy dobrze wygląda ostatnia toaleta, jak się uda jutrzejsze przyjęcie i czy nowy kucharz potrafi zaćmić swemi arcydziełami kunsztu kulinarnego kucharza X!—ów, którego sobie przywieźli zeszłego miesiąca specjalnie z Paryża i który—powiadają—bierze większą pensję niż prezydent Stanów Zjednoczonych?

Widzimy więc, że los amerykańskich „księżniczek dolarowych” nie jest wcale, jakby się nam to zdawało, godnym zazdrości!.. Z. B.



# JEDNAK ZWYCIĘŻYŁ

(Pod wrażeniem obrazów Władysława Ślewińskiego)

W życiu artystycznym chwila ciekawa i pamiętna. Otworzono w Salonie je-siennym Zachęty pośmiercią wystawę Władysława Ślewińskiego.

Artysta mało popularny w Polsce, choć przyjeżdżał do nas i przysyłał obrazy swoje często, a nawet — po pewnym dłuższym pobycie w kraju — stworzył własną szkołę i zostawił uczniów, ślepo sobie oddanych, wiernie przechowujących testament jego wskazań.

Zmarł w marcu 1918 r. — z żalu, roz-darcia i niepewności, co będzie z Polską?

Ten szlachcic mazowiecki — ojciec, dziad, pra-pra dziad do własnej ziemi przywarci, a on — wędrowiec — włóczęga, gnany światami z gór nad morze, z morza w góry, z zachłannych ulic Paryża, do starych zaułków Kazimierza i do bujnej żywej mimo półto-rawiekowej niewoli — Warszawy.

Pamiętam wrażenie pierwszych obrazów mistrza. Stawali w Zachęcie znawcy. Publiczność dziwiła się. Co takiego? Morze, skały, kwiaty — i takie najmniej efektowne. Trochę nagiełek, jakaś chryzantema. A różę — nie jak królowe — płomieniste, wyzywające, holdów żadne, holdami przepojone. Ciche jakieś, skupione, w sobie zwarte, wyraźne w linii, ale matowe w tonie — jak gdyby chciały uciec od uwielbienia ludzkich.

Te różę — tak inne od tych, które rwą się z pod pędzla Wyczółkowskiego orgią kształtów, powodzią barw, falą przepychu i rozkazodawczego piękna w wazach kryształowych, wśród wspaniałych, bogatych akcesoriów.

Przyczajone, nie wiedzące o cudzie ozaru swego różę Ślewińskiego w prostych dzbankach glinianych.

Jednak coś ciągnie do nich, jednak wzrok, myśl i jakaś wewnętrzna, podświadoma tęsknica wraca ku nim

Po latach stanął Ślewiński przed nami w syntezie swojej twórczości. I jakżeż inaczej patrzymy na niego, jakżeż inaczej mó-wi do nas!

Czas zrobił swoje. Wykształcił oczy nasze, pogłębił czucie linii, uchylił jakieś zatajone okna intelektu, obcego przedtem na dzisiejsze postrzeganie.

Nie wiem, czy jest w tej chwili profan, któryby nie schylił czoła przed Ślewińskim. Właśnie przed tą prostotą motywów, z których bije taka wielka powaga i takie skupienie i taki spokój opanowanej, twórczej duszy.

Martwa natura — zwyczajne garnki, miski, lniane, proste tkaniny. Gdzieś jabłka — twarde ale żywe w konturach. Gdzieś — obok chłopskich dzbanów i miski — na ciemnym tle jakby staroholenderskiego obrazu rzucona cebula.

Nawet i ona ma duszę — swoją własną — w jasnomyśleniu i ujęciu mistrza.

Ma duszę pod pędzlem Ślewińskiego — tęskną i skupioną — każdy rys twarzy ludzkiej i każdy przedmiot nieorganiczny.

Szedł sam przez życie z twórczą tęsknotą i zaklął ją w płamy, płaszczyzny, mocne kontury obrazów swoich.

Kopalnia wiedzy dla malarzy — nawet tych, co już przeszli różne szkoły. Zgłębiać metodę tworzenia w pierwszym lepszym polewanym garnku, w płatkach anemону, w twardej, obijanej dziką falą skale, która jednak stoi i przetrwa wieki — w główce chłopięcia o wnikliwie modrych oczach, to zdaje mi się, jakby zacząć naukę od pierwszych, podstawowych reguł malarstwa.

Nie, tam niema przypadku. Wszystko obmyślane, sprecyzowane do ostatniego rzutu pędzla. Jednak — nie suche, nie nudne, nie martwe. Jednak — swoim własnym, nieco przymglonem życiem tętniące.

Pierwszorzędnym marynista. — Taka sławę zdobył sobie Ślewiński w Francji i taka została przy nim aż do chwili obecnej.

Porywały go wodą rozpetane oceany nad brzegiem „Pięknej Wyspy” bretońskiej. Kilkakrotnie wraca do dzikich skał „Belle Ile en mer”, z jednej strony poranej szaleńcem żywiołu, z drugiej w aksamitne, złote piaski ujętej, po których cicho i bezpiecznie rozsypują się fale przyprawów i odpływów.

I ten spokój i morze w szary dzień słotny, i pogodny uśmiech oceanu daje Ślewiński z tym samym twórczym skupieniem, jakim tchnie synteza jego duszy.

Zdawałoby się, że — jak anachoreta — przed rozpoczęciem każdej swojej pracy — klękał, modlił się i odprawiał posty, aby dzieło miało myśl i formę skończoną.

Kompozycji w znaczeniu scen figuralnych, myślowych zespołów, snów wyobraźni nie zostawił. Jednak portret czy pęk astrów, czy ulica starego Kazimierza, czy Murań i Hawrań w chmurach — to nie realistyczne odwzorowanie wrażeń wzrokowych, lecz — głos duszy, która mówi.

Kompozycja — subtelnie wyczarowana z najwewnętrzniejszych przymysłów — są autoportrety Ślewińskiego i — mały sterotka — góralczyk, hieratycznie do twardego drewnianego stołka przewarty — nieletni świątek z cudnymi błękitnymi oczami, których nie zapomni, kto je raz widział. Tyle w nich tęsknoty, która sięga poza zwykłą zjawę, tyle jakiegoś czekania, tyle słodkiej dobroci życia, które nie przeszło jeszcze progów poznania.

Taki maleńki cudny Franciszek z Assyżu, od którego odejść się nie chce.

.....

Zwyciężył Ślewiński szary bierny tłum, który dwadzieścia lat temu pytał w zdumieniu, za co tak chwalał mistrza?

Dziś podziwiają go wszyscy.

\* \* \*

¶ Czybyśmy widzieli obrazy Ślewińskiego, gdyby nie pietyzm pozostałej po nim wdowy?

Pani Ślewińska — od chwili śmierci męża miała jedną myśl tylko. Przywieść puściznę Jego do kraju.

Zgłaszali się zagraniczni — przeważnie amerykańscy nabywcy.

Nie poszła po liniij najmniejszego oporu. Pozwoliła raz jeszcze — ostatni — przemówić duszy mistrza do dusz i serc „swojaków”.

Borykając się z ciężkimi, powojennymi warunkami bytu, lata całe przygotowywała chwilę przyjazdu do Warszawy z obrazami mistrza.

Sama niegdyś malarka — porwana siłą talentu męża, który w 34 roku życia dopiero zaczął malować — rzuciła pędzel i z całą bezpośredniością oddała się pieczy powołania męża.

Usuwa przed nim wszystkie troski realne, zabiega o spokój moralny i materialny, aby tylko mógł pracować i sięgać coraz wyżej, coraz dalej.

Jedzie z nim do Pont Aven, słynnej kolonji malarzkiej we Francji, gdzie Ślewiński maluje w plenerze wraz z Feguin'em, O'Connor'em, Filingère'm i gdzie nade wszystko zawiera przyjaźń dożgonną z Gauguin'em, który wywiera na niego wpływ decydujący. Jeden i drugi gardzą zarówno przesadnym akademizmem, jak zonglerstwem formy. Każdy z nich szuka i wyczuwa twórcze tęsknoty, dopóki nie zdobyli „swojej własnej, giętkiej i mocnej umiejętności plastycznego kształtowania” — jak mówi Stefan Popowski.

Na kilka lat przed wojną przyjeżdża Ślewiński do kraju i grupie dokala siebie uczniów, z którymi latem jedzie na plener do Kazimierza nad Wisłą.

Z pośród nich — najwierniejsza adeptka mistrza, p. Alina Glassowa, która wystawiała już niejednokrotnie płótna swoje w salonach Zachęty — współpracuje wraz z p. Ślewińską przy urządzaniu wystaw.

Kto wie, ile to wymaga trudu, zachodów, przewlekłej korespondencji, nieustannego przypominania i zmuśnej dreptaniny, a przede wszystkim nakładu pieniędzy — ten zrozumie wielkie poświęcenie, z jakim obie kobiety doprowadziły do celu zamierzenia swoje.

Tak łatwo, bez najlżejszego wysiłku mogła była p. Ślewińska stanąć wobec dużej fortuny, odstąpiwszy spuściznę po mężu z wolnej ręki.

Jednak — oparła się temu. Jednak przywiozła ją w całości (18 obrazów nie rozwieszono jeszcze z powodu braku miejsca).

Jednak przypomniała nam mistrza, któremu dziś dopiero — po latach — oddajemy hold należny.

Pani Ślewińska stanęła na wysokości zadania jako wierna, długoletnia towarzyska wielkiego artysty.

Tak tylko pamięć drogich zmarłych czczyć umie kobieta.

al.



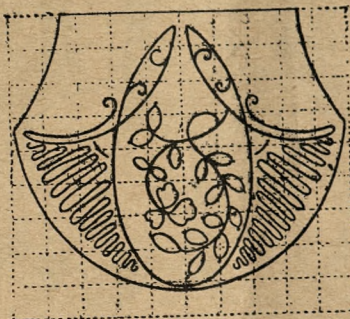


## SPOSÓB POWIĘKSZANIA WZORÓW

Jest wiele osób, z których rąk wychodzą prawdziwe arcydzieła z dziedziny haftów i innych robót kobiecych, a które nie znając rysunków, mogą korzystać tylko z gotowych wzorów i to wzorów narysowanych w tej wielkości, w jakiej mają być wykonane.

Nie mówię naturalnie o umiejętności skomponowania wzoru, na to trzeba pewnej iskry Bożej, którą nie każda z nas posiada, ale jeśli chodzi o powiększenie małego rysunku, o zrobienie z niego wzoru, dowolnej wielkości — jest sposób, za pomocą którego bez żadnej specjalnej umiejętności skutecznie to można. Tło małego rysunku trzeba polinjować w drobną zupełnie równą kratkę jak na rys. 1, lub też przenieść ten mały rysunek na papier kratkowany. Uczynić to można za pomocą zwyczajnej niebieskiej kalki, podłożonej pod rysunek, lub przez potarcie miękkim czarnym ołówkiem lewej strony rysunku i oprowadzenie ołówkiem ostro zatemperowanym wszystkich linii, które dadzą odbicie na podłożonym pod rysunek kratkowanym papierze. Arkusz papieru takiej wielkości jak, wzór, który nam jest potrzebny polinjować w duże kraty, których ilość musi odpowiadać ilości małych kratek na wzorze, przeznaczonym do powiększenia.

Można dla ułatwienia zrobić to na kratkowanym papierze, biorąc trzy, lub cztery małe krateczki w kwadrat, na jedną dużą kratkę. Na przygotowanym w ten sposób tle rysuje się deseń, a cała rzecz polega na uwadze, aby linje na dużym rysunku w tem samym miejscu przecinały duże kratki, w którym małe krateczki są przecięte przez linje małego wzoru. Rys. 2 wskazuje sposób rysowania wzoru — rys. 3 już narysowany powiększony wzór



rys. 1.

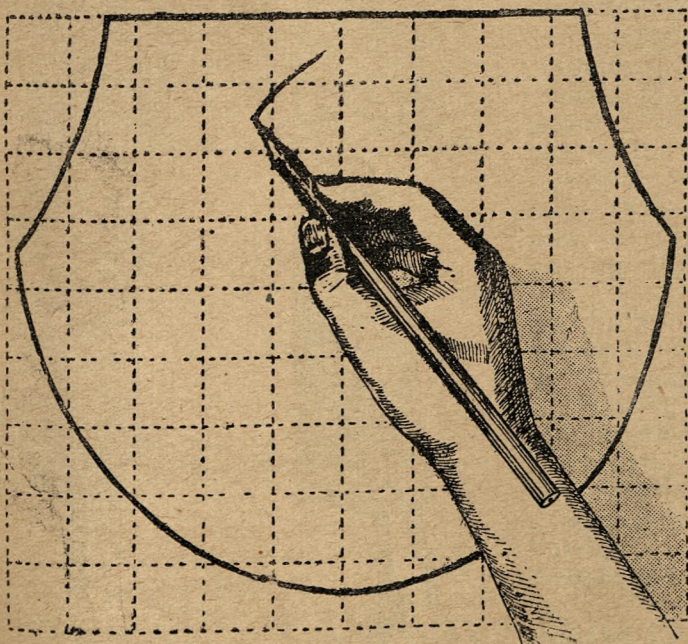
A teraz dam kilka wskazówek, które niejednej z Czytelniczek na wsi, lub w warunkach, gdzie nie można na zawołanie nabyć potrzebnych technicznych przyborów, nie raz przydać się mogą.

Jeśli nam jest potrzebna przezroczyta kalka, możemy ją otrzy-

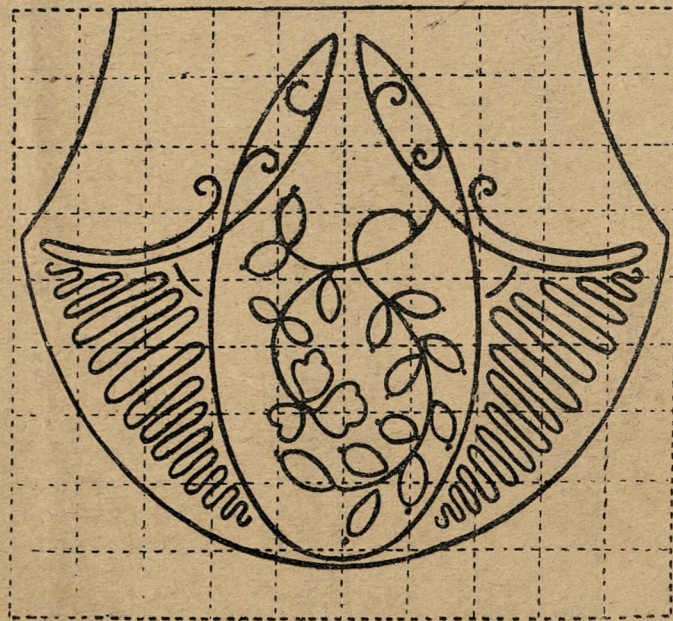
mać, smarując oliwą lub benzyną zwyczajny biały papier.

Papier ten po nasmarowaniu kładzie się między dwie bibuły, aby wysączyć z niego tłuszcz. Jest także mało już dzisiaj używany, ale przez babki nasze wypróbowany sposób przenoszenia rysunków na materiał.

Do flaszki napełnionej czystą wodą wysypuje się lut ałunu i zakorkowaną rozgrzewa się, zanurzając ją w gorącej wodzie, i potrząsając od czasu do czasu. Na miseczce trzeba rozpuścić lut pachnącego mydła, tak aby była gęsta papka. Gdy już jedno i drugie gotowe, należy umaczać pędzelek w wodzie ałunowej i posmarować płótno, lub papier, na którym chcemy wzór odbić. Gdy płótno podeschnie, trzeba wzór smarować mydłem, a gdy dobrze nasiąknie, przyłożyć go do płótna i włożyć pod prasę, podłożywszy czemś miękkim. Z bezpośredniego zetknięcia się mydła z ałunem wynika dokładne odbicie się rysunku. Ciśnienie prasy powinno być krótkie i niezbyt silne, żeby uniknąć zlepiania się obu powierzchni. Jest to sposób, który starannie wykonany, w czasach, gdy o wzorach do przeprasowania nikt jeszcze nie słyszał, oddawał niejednokrotnie duże usługi.



rys. 2.



rys. 3.



## TO I OWO O MODZIE

W tegorocznej modzie jesiennej i zimowej, widać wyraźnie dwa prądy. Na ulicę skromny kostjum „tailleur“, rafinowanie prosty i przez to elegancki. Na wieczór suknie stylowe, pełne ruszek, falbanek, draperji, czarujące lekkością i bogactwem przybrań.

Kostjum ma przeważnie zakiet długi, ku dołowi lekko się rozszerzający, co łagodzi trochę surową, prostą linię. Rozszerzenie to stanowi kloszowo krojona dolna część żakietu lub boki, układane w fałdy.

Duże kołnierze i kieszenie przy takim żakiecie są nieodzowne, a przybranie stanowi najczęściej futro, przyczem lampart i tygrys stanowczo mają pierwszeństwo.

Obok kostjumów widzimy palta, niewiele krótsze od sukni, rozszerzone na bokach plisami i fałdami lub przypominające rotundy i peleryny.

Moda stosowania sukni do okrycia trwa nadal. Połączenie dwóch pokrewnych kolorów, aksamitu z atłasem lub rypsem, matowego ołomanu ze świecącym jedwabiem jest na porządku dziennym.

Kamizelki widzimy różnorodne: krzyżowane na boku, zapięte z przodu



na jeden rząd guzików, zrobione z kolorowego, deseniowego jedwabiu lub rypsu, z mory lub futra o płaskim, niskim włosie. W sukniach natomiast jest duża zmiana. Przedewszystkiem stan wyraźnie jest skrócony i falbany, fałdy i tuniki zaczynają się na linii bioder. Dół sukni dąży do rozszerzenia się, na razie za pomocą układanych fałd i kloszowych falbanek, które nadają większą niż dotychczas swobodę ruchów. Okrągłe wycięcie, najczęściej niczem nie przybrane, zastępują duże i fantazyjne kołnierze, a rękaw gładko opina rękę aż do dłoni lub od łokcia przybiera fantazyjną formę bufki, a przy ręku kończy się mankietem lub fałą koronki, opadającej aż na ładne paluszki.

Ostatnim wyrazem mody są sztuczne karbowania i plisowania, które szczególnie w jedwabiu tworzą fantazyjne desenie i wyglądają czarująco.

Jako przybrania używamy nadal guzików wszelkiego rodzaju, skośnych pliseczek z tego samego materiału, ruszek marszczonych i karbowanej wstążeczki.

Hafty jedwabiem i paciorkami są jeszcze bogatsze i

jeszcze barwniejsze jak poprzedniej zimy.

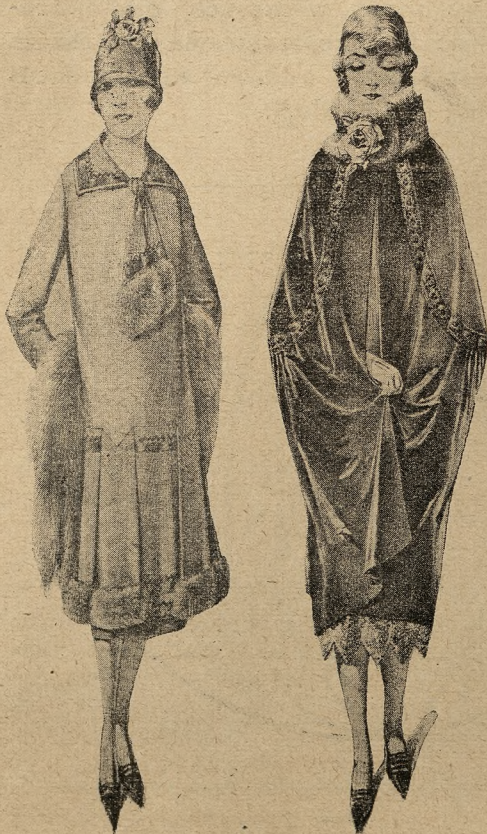
Materiały, używane w tym roku, są fantazyjne i prześliczne. Materiały wełniane, jakgdyby męskie, przerabiane w subtelne desenie, w kratkę i prążki, mieszane z kilku barw mieniają się ciekawie, łącząc kolory: biały lub szary z czarnym, popielaty z zielonym, brązowy z lila lub piaskowym i szeregiem innych.

Materiały naogół są miękkie, prawie puszyste, a przyczem lekkie i ładnie się układające.

Nowość stanowi cieniutki trykot jedwabny w wypukłe prążki, lub supelki.

Bardzo modne i nadzwyczaj oryginalne są materiały cieniowane, od jasnego tonu do najciemniejszego. Używane są na suknie z okryciem, przyczem okrycie i dół sukni jest ciemny, a góra jasna. W ten sposób ma się dwie toalety, gdyż po zdjęciu żakietu pozostaje jasna, stroja suknia.

Na praktyczne palta, na kostjumy sportowe używane są bardzo materiały kraciaste o subtelnych barwach, przybrane skórą i guzikami rogowemi lub z galaitu.





## MODA NA SCENIE

Warszawskie artystki, grając po parysku w paryskiej farsie: „Codziennie o 5 ej” nie zapomniały o nadaniu swym sylwetkom linii, rozszerzającej się ku dołowi, linii tak obecnie w Paryżu charakterystycznej. Zaznacza się ona dotychczas dyskretnie, ale konsekwentnie we wszystkich nowych modelach, a że Pani Moda ma siedmiomilowe buty, jest więc nadzieja, że będziemy tejzimy nosiły szerokie fałdzone suknie, ba, nawet krynoliny. Suknia wąska i prosta, do której przywiązaliśmy się ze względu na jej praktyczność i wygodę, wydaje mi się niebezpiecznie zagrożona; kto wie, może skazana na zagładę. Malkontenci nie będą już mieli złośliwej przyjemności porównywania modnie ubranej kobiety do słupka, przykrytego doniczką; pocieszą się, przyrównując ją do dzwonu lub abażuru. Ucieszą się fabrykanci towarów włókienniczych, a zmartwią osoby oszczędne, gdyż na suknię kloszową wychodzi akurat dwa razy więcej materiału, niż przywykliśmy brać na dotychczasowe, kochane, wąskie sukienki.

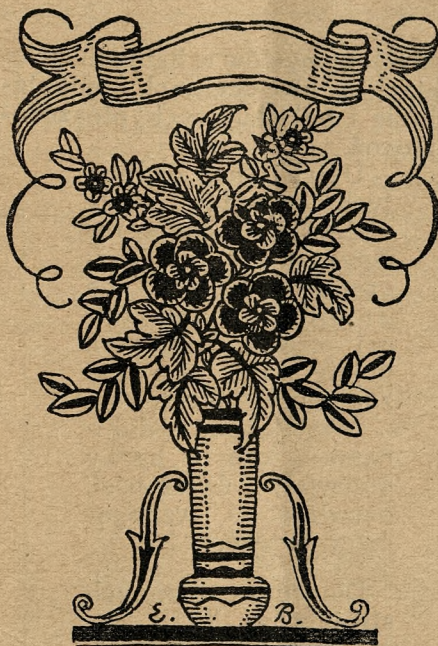
Za to śmieszny chiński kroczek kobiety spętanej zastąpią pełne wdzięku i swobody ruchy. Miałam wrażenie, że artystki chodzą w tych rozszerzonych u dołu sukniach z widoczną przyjemnością odzyskanej swobody.

Karbowane spódniczki i długie, podobne do jumpe'ów bluzy pań Brydzińskiej i Hryniewiczówny wnosily tak ulubiony w Paryżu tego lata charakter sportowy. Drobnutko skarbowana spódniczka ślicznie modeluje kształty, nie krępuje swobody ruchów, bardzo wdzięcznie rozszerzając się w chodzeniu. Pani Brydzińska miała przy zielonej georgette'owej spódniczce długą,

obcisłą bluzę zieloną w czarne i srebrne poprzeczne pasy. Długi szalowy kołnierz z zielonej georgette'y z końcami puszczone mi luźno. Panna Hryniewiczówna do szafirowej skarbowanej spódniczki nosi gładką bluzę z szafirowej tafty i taki sam szafirowy kapelusik. Bardzo ładna jest wieczorowa suknia pani Brydzińskiej, barwy terracota, zahaftowana brylantami i świecidłami w deseń, tworzący kratę, równa i prosta, jak dotychczasowe nasze sukienki, rozszerza się w dole szeregiem trójkątnych wachlarzyków z gładkiego ninon barwy sukni. Prześlizczna piaskowa suknia p. Gellówny koloru „blonde” jest wąska w dole, ma natomiast od bioder szeroką, plisowaną tunikę, sięgającą z tyłu i z przodu brzegu sukni, zaś krótszą po bokach, zakończoną w dole wąskim pasem

o parę tonów ciemniejszym. Podobna plisowana falbana tworzy szerokie, długie rękawy, całkiem odmienne od tych, jakie przywykliśmy dotąd widzieć, a bardzo ładne. Istne cacko płaszczyk pani Brydzińskiej: przedziwne, białe kwiaty i desenie podobne do tych, jakie zdarza się nam widzieć na zamazniętych szybach okien, na tle czarnego ninon.

Wszystkie toalety p. Gellówny cechował spokojny wykwint i dystynkcja, jak wymagał charakter roli. Suknia dzienna z bardzo ciemno granatowego jedwabiu miała przy gładkich plecach przód, skrajany kloszowo, tworzący bardzo ładną linję. Wąska, czarna wstążeczka wiązuje okrągło wyłożony biały kołnierz i tworząc krawat, spływa na biały owalny plastron kamizelki. Dół sukni jest bramowany z przodu oryginalnym szlakiem z rozetek, marszczonych z granatowego jedwabiu. Wychodząc, wkłada p. Gellówna gładki płaszcz z czarnej wełny. Boki sfałdowane, przyciśnięte trójkątnymi klapami. Wielki kapelusz z czarnego aksamitu zdobią puszyste, czarnobiałe cross'y. Czarna suknia wieczorowa z lśniącego jedwabiu, gładka i obcisła, zakończona w dole zębami ze srebrnej koronki również bardzo ładna. Panna Hryniewiczówna ukazuje się znów w robe-manteau z ciemnozielonej tafty, kloszowej u dołu, zakończonej w dole i u rękawów tym oryginalnym szlakiem z marszczonych z materiału rozetek. Na pierwsze wejście robi to wrażenie jakiegoś dziwnego futra lub piórek. Maleńki kapelusik z ciemno zielonego aksamitu pozwala wróżyć, iż w tym roku na równi z dużymi kapelusiami zachowują prawo obywatelstwa i dawne malutkie klosze. W. L.



## WEHIKUŁY PRABABKI

W XX wieku, gdy w potężnym pędzie opanowaliśmy przestrzeń, zapomniane stoją dawne środki przenoszenia się z miejsca na miejsce, którymi posługiwano się w ubiegłych stuleciach. Pozłociste karoce z paziem konnym, koniuszczym po bokach i dwoma laufkami na przodzie — to dawno przebrzmiało echo. Wniknijmy na chwili

w misterne lektyki, w których jest zawarta siła symbolu minionej przeszłości.

Lektyki w wieku XVIII pojawiają się na nowo i w epoce kobiecej kultury, osiągając wielkie rozpowszechnienie, dochodzą do szczytu swego rozwoju. W owym czasie, gdy artyści żyli w bezinte-

resownej radości twórczej i z dumą nosili rzemieślnicze znamię, każde dzieło stolarszczyzny, mające najbardziej skromne przeznaczenie, było ozdobione z pieczołowitością artystyczną. Wszystkie znamiona epoki, cechujące aksamitną wytworność życia, zbiegły się w tym wypieszczonym sprzęcie. Powierzchnie lektyki nadawały się do



ozdób artystycznych i upiękaszano je w sposób najrozmaitszy, zależnie od upodobania.

W związku z bogaceniem się form bogacił się także i układ ornamentu od tych form zależny. Ornament został wszechstronnie wydoskonalony i uposażony w wielką ilość i różnorodność motywów, wywołujących wrażenie bogactwa. Zwracano się do natury jako niewyczerpanej skarbnicy wszelkich artystycznych motywów, nadających się najlepiej do zastosowania zdobniczego.

Nie zadawalniając się zdobniczym podkreśleniem miejsc użytkowo ważnych lub charakterystycznych dla formy, artyści ożywiać zaczęli wszystkie części lektyki, która stała się polem popisu i sposobnością do rozwinięcia najbogatszego przepychu.

Każda lektyka była w sylwecie swej nieco inną, lecz kojarząc

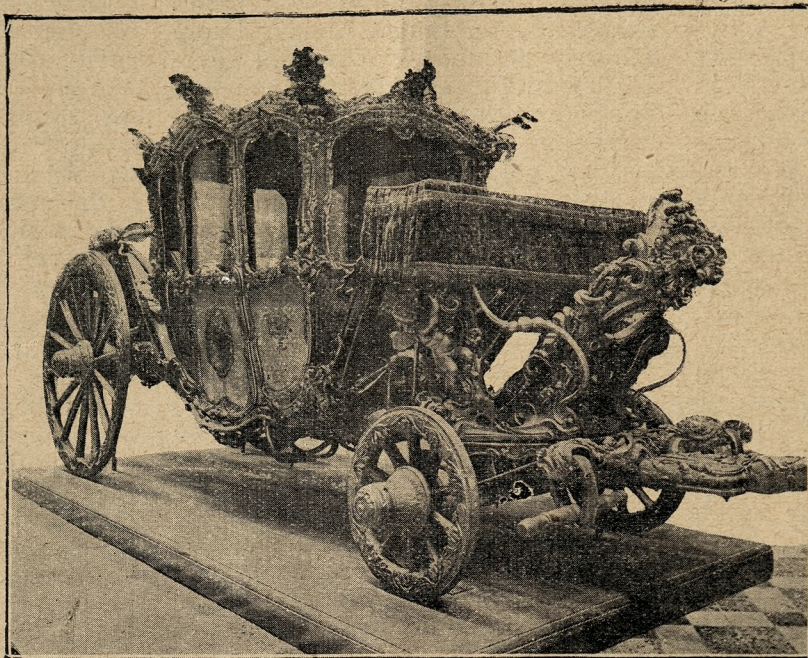
wszystkie zdobiny, odpowiadające przecięciom, zagięciom, wyskokom i wgłębieniom — tworzyła jedną harmonijną całość, pełną fantazji i

bianka spoglądała na biegnącą cizbę pełnym pogardy wzrokiem. Stroniąc od nich rozmyślnie, świadoma swej tkliwej urody w wykwintnym wehikule, lśniącym przepychem barw i złocień, podążając śladem poszeptów Amora, pragnie jaknajprędzej odbyć swą drogę i nie użyć widoku swego nawet w przelocie.

Dzisiaj — gdy kobieta w samochodzie, trzymając pewną ręką kierownicę, w pędzie, pozerającym dal, mknie prosto jak strzała, śmiałą ręką puszczone z cięciwy — dumna ze świeżego powiewu swobody, malownicze wehikuły nie mogły się zastosować do szybkiego biegu czasu — znajdują jedynie schronienie w muzeach i zbiorach prywatnych. Stoją, pokryte patyną czasu o pastelowej delikatności

jako symbole dawno minionej wspaniałości — zbudowane z lekkomyślnej pychy i wyrafinowanego zbytku.

*Emilja Szenwiczowa.*

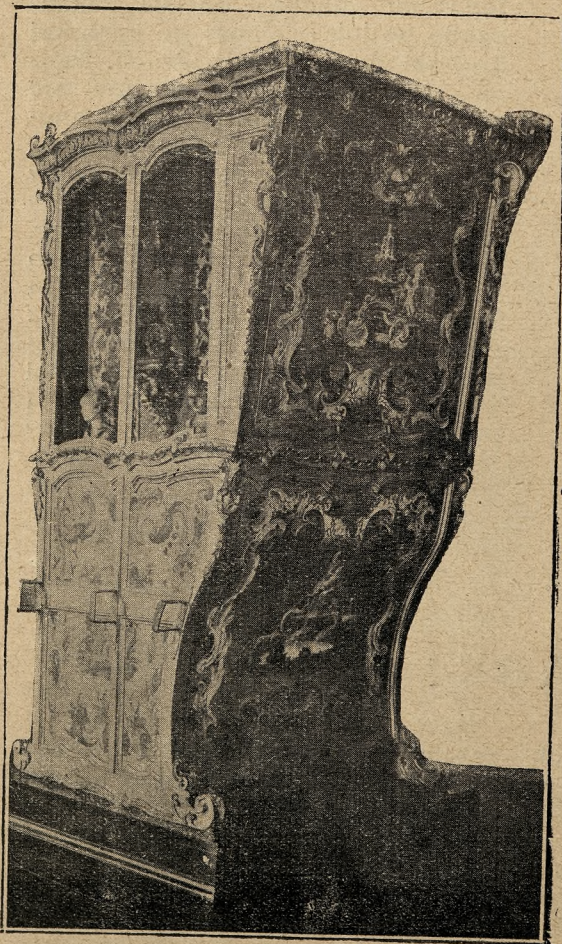


[[Karoça Burbonów]]

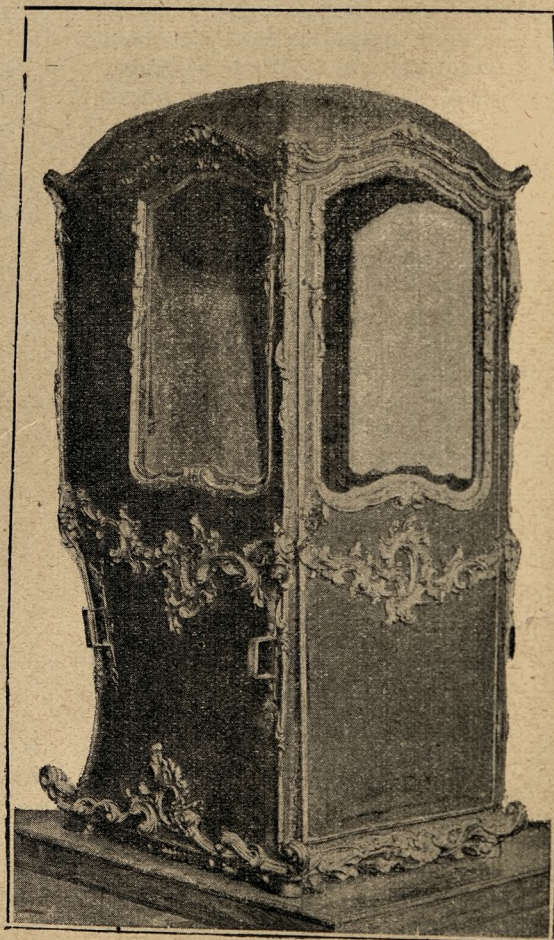
śmiałyh pomysłów w listnych zwieszeniach i ukwieceniach, mieniających się i połyskujących] pieczołtą złocień.

Ulubioną ozdobą tych sprzętów były malowidła i godła rodowe, które, umieszczone po bokach, na przedniej lub tylnej części lektyki, pojęte jako motyw zdobniczy, łączyły się z okalającymi zdobinami. Złoto i barwy dodawały świetności, ożywiając i wzbogacając całość.

Dla rozpieszczonych strojnisiów XVIII w., rozszerzających pieściwą wygodę na wszelkie dziedziny życia — lektyka była odpowiednim tłem, ochraniając i uwypuklając ich wyperfumowaną wytworność. Margrabianka — kwiat cieplarniany, nigdy nie targany burzą, nie znający silniejszych podmuchów wiatru, nie zdołałaby żyć bez zazdrośnie osłaniającej ją lektyki. W przytulnym, zacisznym zakątku, w ciepłych miękkich jedwabistych tkanin, unoszona ponad męty ulic, margra-



Lektyka z XVIII w



Lektyka z XVIII w



## NOWE POLE PRACY DLA KOBIEC

Prawa, uzyskane ogólnie przez kobiety, napełniające je dumą i zadowoleniem moralnym — nie wiele wpłynęły na poprawę ich bytu materialnego.

Na wyrobienie sobie stanowiska adwokacki lub lekarza trzeba dużo czasu i pieniędzy na naukę, wywalczenie praktyki, a często wykorzenienie przykrych uprzedzeń. To też ruchliwy i pełen pomysłowości umysł kobiety szuka rozwiązania tego trudnego zagadnienia na innych drogach.

Przodujące w inicjatywie Francuzki otwierają coraz to nowe szkoły zawodowe dla kobiet z inteligencji, sfery, najbardziej dotkniętej przewrotami wojennymi, z których wychodzą dzielne, umiejętnie przygotowane pracownice.

Jednym z takich udanych pomysłów jest uzyskanie poparcia Ministerstwa Skarbu, które przy współudziale ministerstwa Oświaty otwiera w kilku większych miastach we Francji wyższe szkoły hotelarstwa, których ukończenie nadaje kobietom te same prawa co mężczyznom w dziedzinie zakładania hoteli. Z tych szkół wyjdą uzdolnione dyrektorki, sekretarki, osoby do przyjmowania gości, do kontrolowania pokoi, gospodarstwa i t. p. ze specjalnym naciskiem na obce języki. W dzisiejszych czasach kiedy tyle starannie wychowanych, od dzieciństwa przyzwyczajonych, do prowadzenia wykwiutnego domu i przyjmowania gości, kobiet znalazło się bez chleba — czyż nie wskazanem jest zużytkowanie na tej drodze z pożytkiem materialnym dla siebie i moralnym dla gości, tych bezcennych darów, zdobytych w lepszych czasach. Któż bardziej jak dobrze wychowana, o delikatnych poczuciach kobieta potrafi odczuć potrzeby intelektualne i materialne człowieka, będącego jej gościem, kto lepiej dowiedzie prawdy słów jednego z autorów, że „przyjąć kogoś, to podjąć się myślenia o jego szczęściu przez czas pobytu pod naszym dachem“.

W dzisiejszych czasach, kiedy tak trudno zdobyć jaki taki sposób egzystencji — czyż nie wartoby i u nas pomyśleć o podobnej gruntownej specjalizacji? Pole do pracy mamy duże, nigdzie chyba dział hotelarski nie jest w takim jak u nas zaniedbanu. Za wyjątkiem stolicy i kilku większych miast — gdzie też dużo możnaby powiedzieć o porządku i uprzejmości prowadzących hotele i pensjonaty — jest on w rękach ludzi co najmniej

niepowołanych, lub brudnego zydostwa, przynoszącego wstyd naszej kulturze.

Weźmy się energicznie do pracy, poważnie przygotowane, uczciwie traktujące nasz zawód, nadajmy inny pozór zajazdom naszych miast i miasteczek, a przede wszystkim miejscowości kuracyjnych, tchnijmy w nie powiew cywilizacji i estetyki, a otworzy się przed nami, trochę ciężkie może z początku — niezaprzeczenie jednak szerokie pole do zarobku dla nas, a do uchronienia, co najważniejsze, kraju od często stosowanego nawet przez przyjaciół politycznych, niestety, słusznego epitetu: „La sale Pologne!“

Rzucam myśl — do Was należy, Panie, potrzebujące pracy, zastosować ją, wyzyskać i udoskonalić.

Z. a

## G D U Ł Y

Tak brzmi istotna nazwa bardzo rozpowszechnionej rośliny, znanej wszystkim pod zupełnie niezasadzoną nazwą fjołka alpejskiego. W handlu często spotykamy się z nazwą, zapożyczoną z łaciny: cyklamen.

Gduły rosną dziko w Europie południowej, w Afryce północnej i w Małej Azji i są w zasadzie roślinami trwałymi, które skupiają swe siły żywotne w bulwie, ażeby po okresie spoczynku czerpać z niej soki, potrzebne do wykształcenia nowych liści i kwiatów. Jest to zatem „bylina“.

Niestety, niewiele solenizantek, obdarzonych cyklamenami, potrafi

się niemi cieszyć dłużej: przeważnie po paru dniach liście żółkną, młode pączki zamierają, a szczątki rośliny dogorywają — na śmietniku. Jednak znam osobiście miłośniczki roślin, których gduły, hodowane w mieszkaniu od szeregu lat, corocznie pokrywają się liśćmi i wydają kwiaty.

W uprawie handlowej cyklamenu są traktowane jako rośliny jednoroczne. To znaczy, że ogrodnicy nie przechowują bulw po przekwitnięciu, lecz posiłkują się zawsze młodymi roślinami, wyhodowanymi z nasienia.

W tem miejscu warto wspomnieć o ciekawej właściwości cyklamenów: gdy po okwitnięciu zaczną wykształcać nasiona, wówczas łodyżka kwiatowa coraz silniej skręca się spiralnie, aż wreszcie dojrzałe ziarenka ukrywa w ziemi. Z tego objawu należy wyciągnąć wskazówkę praktyczną: jeżeli roślina sama umieszcza nasionka zaraz po dojrzeniu w ziemi, to hodowca powinien naśladować naturę i siać tylko ziarno świeże. Istotnie. Wiele niepewności można przypisać użyciu zleżałego nasienia. Gdy jednak kupujemy nasiona w składach, które przeważnie sprowadzają je z zagranicy, to musimy brać, co nam dają. Ale zaraz po otrzymaniu zaleca się nasiona namoczyć w letniej wodzie, bo tak przygotowane, będą kiełkowały szybciej i pewniej od suchych.

Siew cyklamenów przypada na sierpień — wrzesień.

Płytkie skrzyneczki drewniane albo gliniane wypełniamy prawie po brzegi lekką, przepuszczalną ziemią; więc liściową z piaskiem, wrzosową z piaskiem, albo torfową z piaskiem. Nasiona, moczone i lekko obsuszone, żeby się nie zlepiały, rozsiewamy niezbyt gęsto, przyklepujemy deseczką i pokrywamy bardzo cienką warstwą równie lekkiej ziemi. Po ostrożnym zroszeniu powierzchni nakrywamy skrzyneczki szybą i umieszczamy w cieplarni albo w inspekcji.

Teraz musimy dbać o równomierną ciepłotę i dostatek wilgoci i czekać cierpliwie, aż roślinki poschodzą.

Zwykle dopiero w listopadzie lub grudniu wykształcą pierwszy listek, a wówczas trzeba siewki rozsadzić w taką samą ziemię, lecz rzadziej, żeby przysporzyć im miejsca do dalszego rozwoju.

Z chwilą, gdy listki się ukazały na powierzchni ziemi, potrzebują one jak najwięcej światła. Stawiamy więc skrzyneczki blisko szyb, ażeby się roślinki nie wyciągały i utrzymujemy ciepłotę umiarkowaną od 8 do 12 R.





W miarę wzrostu młode gduły powinny być jeszcze parę razy przesadzane, więc przynajmniej jeszcze dwukrotnie w okresie zimowym, żeby się dostatecznie wzmocniły i wykształciły obfity system korzeniowy.

Gdy już minie obawa większych mrozów, trzeba wybrać jedną z dwóch metod hodowlanych: doniczkową lub gruntową. Pierwsza ma liczniejszych zwolenników, ale wymaga większej ilości doniczek i przysparza więcej zachodu.

Przy uprawie doniczkowej sadzimy młode roślinki do małych doniczek w ziemię, podobną do uprzednio opisanej, ale z mniejszym dodatkiem piasku. Doniczki dołujemy w inspekcje, to znaczy—zagłębiamy je aż po brzegi w ziemi, nasypanej do skrzyni inspektowej, na pokład nawozu, wytwarzający ciepło. Trzeba jednak w dalszym ciągu przestrzegać, żeby temperatura nie przekraczała 12°R w ziemi, bo nadmiar ciepłoty wydelikaca rośliny i sprzyja rozwojowi różnych chorób, tudzież pleśni.

W kwietniu zwykle trzeba już skrzynie przewietrzyć (zawsze jednak od strony bezwietrznej) i w dni pogodne okna cieniować. Nadmiar wilgoci jest szkodliwy, ale jednorazowe nawet zasuszenie roślin może sprawić, że pączki kwiatowe nie wystrzelą do góry, lecz rozwiną się poniżej liści.

Ilekoć zauważymy, że bryłka ziemi, zawarta w doniczce, przerosła korzeniami—tylkoć będziemy przesadzali gduły do doniczek o jeden numer większych i w ziemię coraz zwężlejszą. Podczas ostatniego przesadzania, mniej więcej w sierpniu, można domieszać do ziemi trochę opiłek rogowych. Dobrze zakorzenione rośliny są też wdzięczne za zasilanie ich nawozami ciekłymi.

Po każdym przesadzeniu doniczki należy zadołować nieco rzadziej niż stały uprzednio, a okna na parę dni zamknąć zupełnie, albo ograniczyć przewietrzanie.

Począwszy od sierpnia, przystępujemy do hartowania roślin. Więc podczas ciepłych nocy najprzód unosimy, potem zdejmujemy okna zupełnie, nakładając je na dzień, jeżeli zacięzione szyby mają chronić liście przed zbyt jaskrawymi



promieniami słońca. Po oswojeniu roślin z powietrzem — zdejmujemy okna zupełnie.

Przy drugiej metodzie uprawy młode roślinki należy zasadzić rzadko (co 15—20 cm) w inspekcje umiarkowanie ciepłym, dbać o utrzymanie przez czas jak najdłuższy jednostajnej temperatury, a pozatem polewać, przewietrzać i cieniować, jak uprzednio było opisane. Do końca czerwca lub początku lipca powinny się cyklameny rozrosnąć tak, że pokryją liśćmi całą przestrzeń, a wówczas należy wyjąć je ostrożnie z bryłki ziemi, zasadzić do doniczek i pielęgnować dalej narówni z hodowanymi w doniczkach od początku.

Przed nadejściem chłódów trzeba gduły przenieść do szklarni, gdzie pozostają aż do zakwitnięcia.

Niektórzy hodowcy potrafią wytworzyć rośliny tak jędrne i bujne ulistwione, że postawione do góry nogami, na liściach, utrzymują się zar doniczki z ziemią.

Jakże teraz postępować z rośliną, przeniesioną do pokoju? Trzeba jej dać warunki możliwie podobne do tych, wśród których wyrosła. A więc nie ozdobić nią stolika w ciemnym kącie pokoju, lecz umieścić ją na oknie lub w jego sąsiedztwie, chroniąc jednak od bezpośredniej operacji słonecznej. Powietrze w pokoju jest zawsze

wiele suchsze niż w szklarni, więc trzeba liście zraszać, a na noc, z początku przynajmniej, pokrywać zwilżonym muslinem.

Nie stawiać doniczki w sąsiedztwie ciepłego pieca ani radiatora kaloryferów. Dostarczać roślinie w porze kwitnienia dużo wody, najlepiej nalewając ją na podstawkę, bo wtedy bulwa jest najmniej narażona na zgniliznę od nieostrożnego polewania.

To byłyby zasadnicze wskazania, dotyczące zresztą nie tylko cyklamenów, ale i innych roślin, przeniesionych ze szklarni do pokoju. Wiele wskazówek podobnych daje swym członkom na zebraniach miesięcznych Koło Miłośników Ogrodnictwa, ale nie dość jest znać zasady ogólne. Piękne rośliny mieć będzie ten tylko, kto je ukocha, i dzięki temu nauczy się rozumieć ich bezgłośnie, a jednak często bardzo wyrazistą mowę!

Stan. Schönfeld

## KONKURS NA ZDOBIENIE BALKONÓW

Ogłoszony przez Koło Miłośników Ogrodnictwa konkurs na balkony, ozdobione roślinami żywymi, obudził słuszne zainteresowanie wśród warszawianek. Dowodzą tego dość liczne zgłoszenia, nadchodzące z różnych dzielnic miasta. Ponieważ jednak liczba zgłoszeń, w stosunku do ilości ukwieconych balkonów w granicach Warszawy i Pragi jest jeszcze znikoma, więc Zarząd Koła przedłuża termin przyjmowania zapisów do końca bieżącego miesiąca.

Wskutek tego przypominamy pp. Czytelniczkom „Bluszczu,” że wszelkich informacji mogą zasięgnąć przez telefony Nr 32-35 i 136-66. Zgłoszenia pisemne należy kierować na ręce W-nej K. Zielińskiej (Jerozolimska 45), a wpisowe w kwocie zł. 5 (członkinie K. M. O. zł. 3) do P. K. O. na rachunek Koła Miłośników Ogrodnictwa, Nr 42-42.

Nagrody za wyróżnione balkony będą wydawane w naturze, a nazwiska nagrodzonych zostaną ogłoszone w prasie.





## K U R O P A T W Y

Zainteresują się może Czytelniczki naszą historją kuropatwy—tego smacznego ptaszka, na strzelanie którego sezon się rozpoczął. Ciepła i pogodna wiosna tegoroczna sprzyjała ich lęgowi, to też kuropatw mamy bardzo dużo i możemy spodziewać się, że ceny ich będą przystępniejsze jak zwykle. Według praw myśliwskich polowanie na kuropatwy rozpoczyna się 20-go sierpnia i trwa do połowy zimy. We wrześniu jest najlepsze i najłatwiejsze—kuropatwy już dorosłe trzymają się w stadkach, a jeszcze nie rozbite i wystraszone strzałami z zaufaniem dają się podejść. W październiku stają się ostrożniejsze, a że pola już puste a kuropatwa ma wzrok bardzo bystry i nóżki zwinne, zdaleka widzi niebezpieczeństwo w postaci myśliwego z fuzją i ucieka przed nim tak szybko, że dobre musi mieć nogi, aby ją dogonić. Na kuropatwy przeważnie poluje się z wyżłem—na jesieni. W miejscach, gdzie ich jest dużo, urządzają polowanie z naganką. W zimie, skoro śnieg zasypie pola a biedne ptaszki, pozbawione naturalnego pożywienia, w poszukiwaniu zbliżają się do siedzib ludzkich, dużo ich wylapują na siłdła lub strzelają na śniegu. Tak jedno jak i drugie niegodne myśliwego—jest nietylko zabronione, ale nawet karane sądownie. Kuropatwa i pokrewna jej przepiórka, należą do najmniejszych ptaków z gatunku kurowatych; o ile lęgi był pomyślny, spotyka się je u nas w licznych stadkach. Nietylko że nie wyrządzają szkody w polach, ale przeciwnie są źródłem przyjemności i dochodu. Kuropatwa ma ciało nabite—a choć niewielka wzrostem, jest stosunkowo ciężka, co jej nie przeszkadza chyżo i wytrwale latać; jednak nie lubi wznosić się wysoko, na ziemi odznacza się nadzwyczajną szybkością i zwinnością. Zmiamienną u kuropatwy jest miłość rodzicielska, ścisła, że tak powiem, wierność małżeńska i... wielka lęklliwość, wskutek której, gdy grozi im rzeczywiste czy też urojone niebezpieczeństwo, przysiadają i kryją się natychmiast. W początkach lutego, skoro tylko

słońce przygrzewać zacznie, kuropatwy łączą się w pary—a w maju spotyka się tylko pojedyncze sztuki, co dowodzi, że kury siedzą na jajkach. Gniazda nie wymyślne, lecz w postaci dołka, wygrzebanego w ziemi, niełatwe są do znalezienia, gdyż ptak, schodząc z niego starannie nakrywa je źdźbłami słomy, suchymi listkami lub innym materiałem, będącym „pod dziobem“ aby niczem nie różniło się od najbliższego otoczenia. Jaj w kolorze blade-zielonym znosi kuropatwa od 10 do 30 sztuk, zależnie od warunków i wieku matki.

Po 3-ch tygodniach wykluwają się pisklęta i natychmiast biegną za rodzicami, którzy z rozczulającą troskliwością strzegą je od wszelkich przygód. Skoro spostrzegą wroga—jastrzębia—kryją się małe natychmiast, a rodzice podlatują, a wabiąc się, starają się odwrócić uwagę nieprzyjaciela od nich, a ściągając ją na siebie. Udają jakby fruwać nie umiały—wznoszą się trochę od ziemi i znów zapadają; ten manewr powtarzają kilkakrotnie, aby jak najdalej odwieść drapieżnika od zagrożonego stadka. Dopiero gdy niebezpieczeństwo minie, a jastrząb daleko odleci—matka zwołuje dzieci, które zbiegają się natychmiast—a w końcu i stary ojciec—kogut wraca do gromadki.

Dopiero po 3—4 tygodniach młode zaczynają podfruwać, szybko rosną i tuczą się, zwłaszcza jeżeli ładna i ciepła pogoda pozwala im należycie odżywiać się ulubionymi owadami i robaczkami. Stada żyją w zgodzie obok siebie, nigdy się nie łącząc, tworząc oddzielne rodziny—nie znoszące intruzów—jednym słowem „grzecznie ale zdaleka“. Jeżeli w sąsiednim stadku zginą rodzice, inne natychmiast przyjmują sieroty i opiekują się nimi jak swojemi do następnej wiosny, kiedy każda kurka znajdzie towarzysza—małżonka, z którym stworzą nową rodzinę. Jeżeli wskutek jakiego wypadku kuropatwa opuści swe gniazdko, można, znalazłszy jajka jeszcze nie zziębione, podłożyć je pod kurę—a wy-

chowane na mrówczych jajach pisklęta zanieść w pole i wypuścić w bliskości upatrzonego stadka, a natychmiast przyjmie je za swoje. Skoro kuropatwy podrosną i samodzielnie starać się zaczną o pożywienie, codzień o zachodzie słońca zwabiają rodzice członków swojej rodziny. Zbiegają się ze wszystkich stron; nie pozostają jednak na miejscu, lecz zerwawszy się, zapadają dalej—tu starzy zwołują je powtórnie, poczem stadko zrywa się i siada już tam, gdzie zamierza noc spędzić; wspólnymi siłami wygrzebują ziemię, w której przysiadają w kółko a tuląc się do siebie, rozgrzewają się, wzajemnie. Rano powtarza się ta sama manipulacja i dopiero za trzecim razem zostają w miejscu, gdzie chcą dzień przesiedzieć. Ku końcowi lata kuropatwy stają się coraz dziksze—trudno podejść i rozbić stada, a choć na 1-go października są już dojrzałe, to jest najpulschniejsze i najcięższe—zachowują zwinność biegu i chyżość lotu. Z nastaniem dżdżystej jesieni i śnieżnej zimy kuropatwy często pozbawione są zupełnie pożywienia; chcąc ustrzec je od głodu, przezorny gospodarz buduje im szałas z chróstu i gałęzi, podsypując w nich ziarno i rozrzucając gotowane kartofle, aby dopomóc do przetrwania pomyślnego tych ciężkich chwil. Taka jest historia idealna, rodzinna i materialna ptaka, któremu „pan stworzenia“ w bezlitosnym egoizmie przecina pasmo życia dla przyjemności strzału i spożycia smacznego kaska, zwłaszcza jeżeli gospodyni jego zna się na rzeczy, umie go przygotować i rozróżnić młoda od starej kuropatwy. Młoda ma łapki żółte, (niewielka, ale najlepsza), z wiekiem ciemnieją—zupełnie stare mają nóżki ołowiano-szare i są twarde i niesmaczne. Czy to pieczone, czy duszone w śmietanie, albo po myśliwsku w czerwonej kapuście—zawsze są doskonałe; najlepsze jednak zawinięte w słoninkę, cienko na plasterki pokrojona, obłożone grzankami, upieczone w miarę, nie wysuszone stanowią pierwszorzędną przysmak, wart, niestety, „kurzego żywota“! J. S.





## „WĘGIERKI“

Mniej okazałe od innych śliwek, najtrwalsze i najpożyteczniejsze w gospodarstwie domowym i kuchni, węgierki, racjonalnie użytkowane, dają całe szeregi niekosztownych, zdrowych i łatwych do wykonania smakołyków. Tej zimy szczególnie, kiedy wskutek trudności walutowych przywóz owoców (kalifornijskich będzie zapewne bardzo ograniczony i owoce te będą zapewne bardzo kosztowne, susz krajowy będzie i w domu niezbędny, i w handlu poszukiwany. Jedynym zaś suszem, mogącym konkurować z zagranicznymi, są śliwki suszone, naturalnie dobre śliwki, nie te małe, twarde, szare od kurzu i brudu śliweczki, które się wyrabia z owocu niedojrzałego lub nadpsutego, który widzimy po małych owocarniach i straganach. Jeśli która gospodyni, skuszona taniością tego produktu, nań się skusi, to raz jeden tylko: woda, w której się kilkakrotnie tę ohydę płótcze, ma wszelkie odcienie burego koloru, gotują się te owociki nieskończenie długo, wymagają ogromnej ilości cukru i w końcu otrzymuje się — pestkę, obciążoną mniej lub więcej twardą skórą. Na dobry susz należy używać najlepszego owocu, dojrzałego, a nawet przejrzałego. Że owoc się nadaje do suszenia, można poznać po tem, że skórka przy szypułce zaczyna się zlekka marszczyć. Owoce zdrowe, nie nadpsute, nie zgniłe, należy po zebraniu potrzymać dni kilka w kupach, aby jeszcze lepiej doszły i słodczy nabrały, poczem należy je cienką warstwą rozłożyć na matkach inspektowych lub płótnach i poddać przez dni kilka w przewiewnym miejscu działaniu słońca, starannie chowając na noc od rosy i wilgoci. Przewiew mocny, (ciąg lub wiatr) są konieczne przy tej operacji samo słońce zamiast wysuszyć, przyspieszyłoby tylko zgniliznę. Gdy śliwki już się dobrze zmarszczą, dosusza się je na blachach w piecu po chlebie lub na lasach w specjalnej suszarni, zawsze uważając, aby nie stwardniały zupełnie, a tylko straciły zbyt duży sok i wilgoć. W tym celu należy suszenie powtarzać ostrożnie po kilka razy w niezbyt gorącym piecu. Gdy po rozerwaniu owocu mięso jest ładnie brązowe i zupełnie bez soku, należy śliwki ładnie pospłaszczyć i szczególnie upakować — na użytek domowy w garnki lub słoje, do sprzedaży w nieduże skrzyneczki drewniane (5-cio — lub 10-ciokilowe), wyłożone pergaminem. Tak przyrządzone śliwki, nie ustąpią ani kalifornijskim, ani francuskim, ani besarabskim, jeżeli

na nie będzie użyty owoc zupełnie pierwszorzędny. Pośledniejszy owoc drobniejszy, byle jednak słodki i dojrzały, można ususzyć zwyczajnie w piecu, (uważając jednak, aby był czysty i nie dawał przy myciu owego burego koloru wodzie); będzie on służył na zupy postne i znajdzie zbyt w małych miasteczkach. Mówiono mi, że specjalnie Pomorze, nie mające własnego owocu, chętnie nabywa wszelkie ilości suszu owocowego, szczególnie gruszek i śliwek, byle ten owoc był tani. Podobno bywa on używany w zimie do zup rybnych. Boję się temu wierzyć, tak ta kombinacja smakowa wydaje mi się dziwną i nieprzewidzianą, ale mówiła mi o tem rodowita Pomorzanka, prowadząca zimą sklep spożywczy, a latem pensjonat w jednej z miejscowości nadmorskich; bałam się ją urazić pytaniem, czy oprócz miejscowych aborygenów, ktokolwiek takiej zupy próbował, a raczej jeśli próbował, czy mu smakowała. Coprawda to jedzą przecież ludziska i smakuje im czarnina z suszonymi owocami! Co kraj to obyczaj! Królewiał drwi sobie z kresowych ogórków z miodem, a Kresowiec potrząsa się z obrzydzenia na myśl zupy owocowej z kluskami. Tyle o suszeniu śliwek na większą skalę, na handel przeważnie. Do domowego użytku doskonałe są różne śliwki nadziewane na rożenkach. Można je nadziewać marmeladą z cukrem z tychże śliwek przyrządzoną, migdałami całymi, oczyszczonymi z brunatnej skórki, migdałami tłuczonymi z cukrem, dodaje się wtedy zawsze nieco gorzkich dla zapachu, masą ze skórki pomarańczowej lub cytrynowej, utłuczonej z cukrem, anyżkiem lub nawet kminkiem zawsze utłuczonymi z cukrem, co kto woli, co kto ma lub na co go stać. We wszystkich tych wypadkach jednakowo się postępuje, to jest bierze śliwki duże, bardzo dojrzałe i słodkie, przecina u jednego boku wzdłuż, aby usunąć pestkę, możliwie mało rozrywając owoc, zapełnia danem nadzieniem, miejsce pestki ściska, aby nabrała dawnego kształtu i po dziesięć do piętnastu nakłada na cieniutkie rożenki z drzewa suchego wystrugane. Rożenki takie układa się na

blachy lub brytwanny w taki sposób, aby końce ich spoczywały na brzegach blach, a śliwki same były zawieszane nad blachą, nie dotykając jej wcale — poczem suszy się je w bardzo letnim piecu, dosuszając po razy kilka, aby pozostały soczyste wewnątrz i nie stwardniały ostatecznie. Ususzone śliwki układać wraz z rożenkami bardzo szczelnie w blaszanki od biszkoptów angielskich i konserwować szczególnie zamknięte w suchym, chłodnym miejscu. Produkcja powideł śliwkowych, stosowana w miejscowościach, gdzie śliwki rosną masowo i gdzie na nie innego zbytu niema, polega na duszeniu ich w garnkach, fasowaniu przez sito czy durszlaki dla oddzieleniu pestek i skórek i wysmażaniu do gęstości w dużych kotłach przy ciągłym mieszaniu od dna dużą, drewnianą kopystką, aby się masa nie przypaliła. Gdyby która z Czytelniczek „Bluszczu“ chciała tym wyrobem się zająć, radzę jej na każde kilo powideł dodać na dogotowaniu już, jedną pastylkę „benzoesu“ rozpuściwszy w łyżce wody gotowanej, uchroni to powidła od kwaśnienia; kosztuje minimalnie. Lepszą od powideł jest stanowczo marmelada śliwkowa z dodatkiem cukru lub chociaż syropu kartoflanego smażona. Masę śliwkową przetartą jak na powidła, miesza się z połową cukru (lub syropu kartoflanego) wkłada w kocioł lub miednicę mosiężną i smaży zupełnie tak, jak powidła, mieszając od dna kopystką. Dla zapachu należy dodać nieco pestek śliwkowych, utłuczonych i oczyszczonych z brunatnej skórki, kilka goździków i kawałek cynamonu. Gdy masa zgęstnieje, a kropla, nalana na spodek, stygnie, galaretując się, dodaje się zwykłą proporcją „benzoesu“ i gorące powidła składa w kamienne słoje. Po zupełnym ostygnięciu dopiero obwiązuje się je pergaminem. Na konfitury i kompoty należy węgierki obrać ze skórki, wrzuca się je w tym celu po kilka do gorącej wody (prawie wrzącej) i skórkę zdejmuje małym nożykiem owocowym; schodzi łatwo jak rękawiczka. Smażąc takie obrane węgierki na konfiturę, należy je kilkakrotnie zalewać zimnym ulepem, w przeciwnym razie rozgotują się na marmeladę. Wspaniałą marmeladę śliwkową, nie ustępującą w kolorze i smaku morelowej, można zrobić z takich obranych śliwek, dusząc je do zmięknienia a raczej rozgotowania zupełnego w garnku, przecierając przez durszlak dla usunięcia pestek (wcześniejsze usunięcie pestek pozabawiłoby marmeladę aromatu) i smażąc pół na pół z cukrem aż do zgęstnienia. Na galarety lepsze są





renklody; można je jednak robić i z węgierek; na galarety można użyć mniej dojrzały, a głównie mniej dorodny owoc. Powszechnie są znane likiery i nalewki z węgierek surowych, natomiast mało kto wie, że na suszonych śliwkach można robić wyborną wódkę niesłodzoną. Całe szeregi placków, pierożków, knedli, anflaufów, kek-sów i innych potraw robią ze śliwkami lub ze śliwek świeżych i suszonych. Szczególniej węgierki są owocem pożytecznym i poszukiwanym.

*Pani Elżbieta.*

## Przepisy gospodarskie



### PLACEK ZE ŚLIWKAMI.

Łyzkę masła i szklanekę gęstej śmietany zagnieść z pół szklanką cukru i taką ilością mąki, aby ciasto było niezbyt twarde, lecz dało się wałkować. Nie zapomnieć o dodaniu szczypty soli. Pół kilo dojrzałych węgierek przekrawać na połowę, pestki odrzucić. Ciasto rozwałkować cienko, ułożyć na blachę, brzegi zręcznie podchwycić, aby sok z owocu nie mógł spłynąć przy pieczeniu, z tych brzegów uformować ładny kancik wysokości palca. Śliwki ułożyć na ciasto, skórką w dół, posypać obficie cukrem, utłuczonym z cynamonem, rzucić gdzieś gdzieś oczyszczoną pestkę od śliwki, co daje miły aromat, upiec w niezbyt gorącym piecu. Je się na gorąco jako leguminę lub na zimno do herbaty.

### KNEDLE ZE ŚLIWKAMI.

Ugotować kilo oczyszczonych z łupin kartofli, nieco osolić, utłuc lub przepuścić przez maszynkę, wsypać około ćwierć kilo mąki, wbić dwa duże jaja lub trzy mniejsze i dobrze wyrobić na gładkie ciasto. Kilo dojrzałych węgierek otrzeć z kurzu lub też obmyć i osuszyć dokładnie na płótnie. Brać po kawałku ciasto, rozplaszczając jak najcieniej i zawijać weń po jednej śliwce, formując zgrabną kulę. Zagotować w rondlu obszernym wodę, leciutko ją osolić, na wrzącą wrzucać knedle, przykryć na minut parę pokrywą; gdy spłyną w górę popróbować jeden, jeśli ciasto i śliwka już nie są surowe, wyjąć wszystkie łyżką durszłakową

na półmisek i polać masłem, zrumienionem z bułeczką. Oddzielnie podaje się do nich cukier, utłuczony z cynamonem. Chcąc, aby knedle były bardziej słodkie, można pestki ze śliwek usunąć, a włożyć w każdą kawianą łyżeczkę cukru z cynamonem.

### GALARETA ŚLIWKOWA.

Dziesięć do piętnastu ładnych węgierek sparzyć i obrać ze skórek. Tyleż śliwek rozgotować w trzech szklankach wody. Gdy się zupełnie rozgotują, precedzić przez gęste sito lub muślin, dodać półtora szklanki cukru, zagotować razem, dodając kilka pestek ze śliwek, oczyszczonych i utłuczonych w moździerzu. Popróbować na smak, jeśli mało kwasu, dodać na koniec noża kwasu lub sok z pół cytryny. Jeśli płyn nie dosyć czysty, sklarować białkiem, rozbitem z dwoma łyżkami zimnej wody, ugotować raz jeszcze, precedzić przez sitko, pokryte higroskopijną watą lub przez gęste płótno. Dodać dziesięć listków żelatyny, wymoczonej w zimnej wodzie i rozpuszczonej w szklance tegoż płynu śliwkowego. Połowę wlać do formy, zastudzić, ułożyć całe śliwki, nalać drugą połowę i postawić do piwnicy lub lodowni. Przed podaniem wynieść półmisek. Można też zastudzić w szklaneczkach—szampankach, kładąc w każdą jedną śliwkę.

### LIKIER ŚLIWKOWY.

Gąsior nałożyć najdojrzalszemi węgierkami; gdy zupełnie pełny, nalać spirytusem, zakorkować jak najszczelniej i postawić na miesiąc na słońcu. Po miesiącu płyn zlać do gąsiora, na śliwki wsypać na każdą butelkę spirytusu pół kilo cukru. Postawić znów na miesiąc na słońcu lub ponieważ jesienią o dużo słońca trudno, gdzieś blisko blachy kuchennej. Często potrząsać gąsioriem i obracać go w różne strony. Gdy cukier się rozpuści, scedzić ten syrop i mieszać z pierwszej zlanym; otrzymamy wyborny, aromatyczny, bardzo

mocny likier do kawy. Śliwki pozostałe też się nie zmarnują, gdyż można ich użyć jako „pousse café” przy czarnej kawie; są wyborne w smaku, ale zdradzieckie, gdyż idą do głowy mocniej od każdego likieru.

### WÓDKA NA ŚLIWKACH SUSZONYCH.

Gąsior nałożyć do połowy śliwkami suszonymi i nalać do pełna zwykłą 45° wódką. Postawić w ciepłe lub na słońcu na cały miesiąc. Po miesiącu scedzić, jeżeli mętna—przefiltrować przez bibułę i zlać do butelek. Wyborna wódka dla osób, lubiących zaprawiane a jednak nie słodkie wódki. Śliwki pozostałe zasypać cukrem, po miesiącu cukier się rozpuści i płyn otrzymany da lekką nalewkę dla pań.

*Pani Elżbieta.*

## DOBRE RADY

Do przypalonego mleka dodać na koniec noża sody i zagotować jeszcze raz w innym naczyniu. — Odzyska dobry smak i będzie zdatne do użycia. Można także, gdy przypalone, przelać nie mieszając i wrzucić parę rozżarzonych drewnianych węgielków (bez płomienia). Po pięciu minutach wyjąć.

\* \* \*

Aby zabezpieczyć śmietankę i mleko od zwarzenia, przed postawieniem na ogień, wpuścić 3—5 kropli oleum tartari, a wymieszawszy dobrze — zagotować. Płyn ten zdrowiu nie szkodzi, nie zmienia smaku, a zawsze zabezpiecza od zwarzenia.

## Korespondencje działu praktycznego

„Ciekawej.”

Jest sposób przechowania świeżych śliwek, którego dawniej nieraz używano.

Trzeba każdą śliwkę, węgierkę, nie pękniętą i nie przejrzałą zerwać z drzewa za ogonek tak, aby jej nie dotykać palcami. Następnie należy ją umoczyć w roztopionym, stygnącym wosku, żeby natychmiast się powlekła jego powierzchnią. Gdy wosk zastygnie, trzeba śliwkę pozawieszać za ogonek na sznurku lub drążku i trzymać w suchym, chłodnym miejscu. Powinny dotrwać do Bożego Narodzenia.

„Młodej matce.”

Słusznie Sz. Pani myśli, że zęby u dzieci trzeba pielęgnować jak

DR. MED.

**J. ŚWITALSKA**

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102-77

Zawiadamia, że po powrocie z Paryża przyjmuje swoje pacjentki.



najwcześniej, już od 4-go roku życia zwrócić uwagę, czy niema czarnych plamek na ząbkach — zwłaszcza trzonowych, — te bowiem, psując się, zarażają inne. Wtedy iść zaraz z dzieckiem do dentysty.

Trzeba pilnować dzieci, aby rano i wieczór płukały buzię wodą przegotowaną z paroma kroplami miętowemi; także przyzwyczajając je z wczasu do używania szczoteczki.

Suknie, zwłaszcza letnie i wieczorowe prać i odświeżać zaraz po zużyciu, aby w razie potrzeby bez gwałtu i kłopotu można było się w nie ubrać.

„Młodej gospozi.“

Przy bardzo rozpowszechnionem dziś używaniu nieocenionego zwłaszcza na wsi, aparatu Wecka, wszelkie robienie konserw innym sposobem jest już przeważnie wspomnieniem. Niech Pani koniecznie zaopatrzy się w ten przyrząd, a podziękuje Pani „Bluszczowi“ za radę. Tymczasem daję najprostszyszy sposób gotowania kompotów:

Owoce surowe wkłada się do słoików, kompotjerami zwanych, zalewa zimnym syropem, na który bierze się na kilo cukru — litr wody. Dobrze wyszumować i ostudzić. Na drobne owoce liczy się na kilo owocu pół kilo cukru; grubsze pestkowe jak renklody, śliwki etc., wymagają gęstszego syropu. Po szczelnem owiązaniu papierem pergaminowym lub pęcherzem, gotować na parze, to jest, owinąwszy słoiki sianem, tak, aby nie dotykały ani kociołka, ani siebie, ustawić je w kotle, zalać zimną wodą i gotować od zagotowania licząc minut 20.

Pani O. P.

Pyta Pani czy firanki w kuchni są wskazane. Otóż zdaniem mojem są to zbiorniki kurzu, których nie powinno się zakładać; tak samo ze względów higieny powinno unikać się sypiania służących w kuchni.

Najpraktyczniejszy stół kuchenny, zwłaszcza w mieście, będzie tak zwany stół „Ideal.“ W takim stole o wystającym trochę blacie znajdują się trzy szuflady. Pod spodem schowanka, w środku wyłożone blachą na 100 klg. węgla. Z jednego boku szafka na 50 klg. drzewa, z drugiego półka i szuflada na szczotki, ściereki i różne drobiazgi kuchenne.

Do szorowania mebli z sosnowego drzewa nie malowanych uży-

wać ługu; do malowanych i lakierowanych mydła i wody; ług bowiem wygryza farbę.

Pani H. R. Polesie.

Trudno poradzić jak się dokładnie nie wie o co chodzi przy tem zacieknieniu na rypsie. Sądzę, że na to nie ma już rady. Niech Pani spróbuje wytrzeć miejsca zaszkłokiem cytrynowym, lub amoniakiem zależnie od koloru. W ostateczności jeżeli to haft, można obwieść go raz jeszcze odpowiednim pocztowym ściegiem aby jak najmniej było znać zacieknienia.

Plamy od pajaków niech Pani spróbuje nacierać sokiem z cebuli utartej i wyciśniętej, a następnie przez muślin precedzonej. Po każdym wytarciu spierać w miękkiej wodzie nacierając miejsca oplamione mydłem. Tę czynność powtarzać kilka razy, dopóki plamy nie znikną zupełnie.

Pani S. L.

Zasięgałam rady lekarza w sprawie owego chłopca jękającego się.

Należy przypuszczać, że przyczyna tego pochodzi z nerwów, możliwe więc, że po pewnym czasie jękanie się minie, gdyby jednak nie przeszło, trzeba się poradzić, gdyż nie jest to przypadłość, którą możnaby leczyć na niewidziane jakiemiś domowymi środkami.

Matce.

Niasłuchanie trudno poradzić coś Pani, nic o Niej nie wiedząc bliższego. Może zechce Pani podać niektóre szczegóły: w jakim Pani jest wieku, ile lat ma dziecko Pani, czy matka mieszka razem, czy osobno i czy jest bardzo stara, czy Pani ma jakiś fach w ręku i umie cośkolwiek robić. Zupełnie

Zawiadamiamy nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje **KOMPLETY HAFTÓW ARTYSTYCZNYCH**. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 5-ej po południu. Tel. 273-34.

rozumiem, że Pani chce zachować incognito, jednak proszę o podanie jakiegoś adresu, choćby „poste restante“ pod który mogłabym skierować odpowiedź, gdyż na łamach „Bluszczu“ jest to niemożliwe.

Pani K. Z. Kielce.

Niech Sz. Pani weźmie spirytusu amoniakalnego na wagę, rozcieńczony go 30 częściami gorącej wody, również wziętej na wagę. Płyn ten ostudzić, w letni zaledwie zanurzyć beret tak, aby był całkowicie pokryty — zostawić 24 godzin. Następnie wyjąć, wytrzeć dobrze i wypłukać kilka razy w letniej wodzie. Skoro przeschnie, prasować od środka przez ręcznik, albo ułożyć go między dwoma serwetkami i przycisnąć ciężką książką — Zostawić tak aż do zupełnego wysuszenia. Jeżeli dobrze wyciśnięty obejdzie się bez prasowania.

## Opis sukien i robót do Nr. 38

725. Kostjum granatowy, przybrany guzikami.

726. Kostjum z angielskiego materiału, przerabianego w krateczkę szarą z ponosowym.

727. Palto z sukna ciemno brązowego, z rogowemi guzikami.

728. Paltocik dla chłopczyka od 5 do 7 lat, z piaskowego sukna. Kołnierzyk fokowy.

729. Kostjum z wełny ciemno zielonej, przerabianej w prążki.

730. Kostjum z aksamitu lub welwetu, przybrany futrem.

731. Paltocik dla dziewczynki od lat 5 do 8, z materiału w drobną krateczkę.

732. Płaszcz z peleryną z materiału w drobną krateczkę.

733. Płaszcz dla dziewczynki od lat 6 do 8, z wełny drobno prążkowanej.

734. Suknia z miękkiej wełny, przybrana jaśniejszym suknem.

735. Suknia z tafty koloru fiołkowego, kołnierzyk i kontrafałda z białego jedwabiu.

736. Suknia z wełny w pasy, przybrana suknem w odpowiednim kolorze.

737. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 7, z sukienki piaskowego, przybrane kolorowym wyszyciem i guziczkami.

738. Bluzka z sukienki malinowego, przybrana wyszyciem czarnym i czarna aksamitką.

739. Bluzka z ciepłej flaneli lila, przybrana brązowym wyszyciem.

740. Bluzka z deseniowego trykotu.

741. Bluzka z trykotu prążkowanego, przybrana guziczkami.

742. Bluzka z popeliny piaskowej, wykończona pliskami z tego samego materiału.

743. Wzór na serwetkę siatkową, lub do wyszycia krzyżykami.

744. Narożnik serwetki — haft biały. Wielkość naturalna.